

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE



Zanim rozpocznieś wakacje...

Jeszcze nie minęło wzruszenie po zdaniu przed chwilą egzaminie, jeszcze roztargnionym wzrokiem ogarniasz porozrzucane w nieładzie podczas sesyjnej gorączki książki i notatki. I oto wkrótce... — Ech, serce omal z piersi nie wyskoczy — po-

rany — oddała wszystko, co miała najlepszego i najpiękniejszego, o czym marzyły, a na wielu kontynentach i dziś jeszcze mogą tylko marzyć pokolenia — dostęp do wszelkich skarbów ogólnoludzkiej kultury, możliwość zgłębiania tajemnic nagromadzonej przez wie-

wiele jemu zawdzięczasz. Pragniesz gorąco w przyszłości, po ukończeniu studiów, wszystkie swe siły oddać, aby w Twoim kraju było coraz jaśniej i lepiej.

A czy nie możesz części tych pragnień, części ogromnego długu wobec narodu spłacić już teraz, dziś, kiedy przed narodem Partia postawiła tak wielkie zadania, kiedy kraj bardzo potrzebuje Twojej pomocy? Znasz dobrze te zadania, studiowałeś je i wiesz jak wiele muszą one nieraz kosztować trudu i wyrzeczeń.

Dziś, lub jutro udasz się na studencki urlop. Pobyt na wczasach, czy w gronie najbliższych, zapewni ci wypoczynek, nabierzesz nowych sił. A od piętnastego lipca rozpoczynają się brygady żniwne. Oczywiście weźmiesz w nich udział wraz z całym swoim studenckim koletywem.

Czy wiesz o tym, że na Twojej ręce czekają nie tylko niezżęte łany zboża? Z radością i wdzięcznością powitają rolnicy sto pięćdziesiąt, czy dwieście procent normy wykonanej przez Ciebie i Twoją brygadę w polu i na pewno będzie to najlepiej mówić o naszej gotowości pracy dla ojczyzny tam, gdzie jest ona w danej chwili najbardziej potrzebna.

Ale nie na tym wyłącznie polega istota sprawy. Już w czasie trwania roku akademickiego miałeś możliwość przekonać się o tym, jakie znaczenie miały dla wsi wyjeżdżające do niej ekipy agitacyjno-artystyczne. Ożywiały się opustoszałe często świetlice, powstawały znów do życia obumarłe niegdyś zespoły artystyczne, energiczniej zaczynało działać koło ZMP. Zadziergały się więzy serdecznej i trwałej przyjaźni, kształtował się sojusz młodych serc, rozpalających swym płomieniem najtwardsze nieraz i najbardziej trudne do zdobycia tereny. Wracaliście



Ileż wrażeń daje pierwsze spotkanie z morzem.

Radość na tych młodych twarzach, skąpanych słońcem i wspaniałą morską wodą, to radość życia, radość młodości, radość, którą kiedyś dzieliła tylko mała garstka uprzywilejowanych. W czasie tegorocznych wakacji prawie 13 tys. studentów bezpłatnie spędzi wczas w najpiękniejszych i najbardziej atrakcyjnych okolicach naszego kraju. Życzymy Wam koledzy niezapomnianych wrażeń i pełnego zadowolenia.

Foto — Arcyński



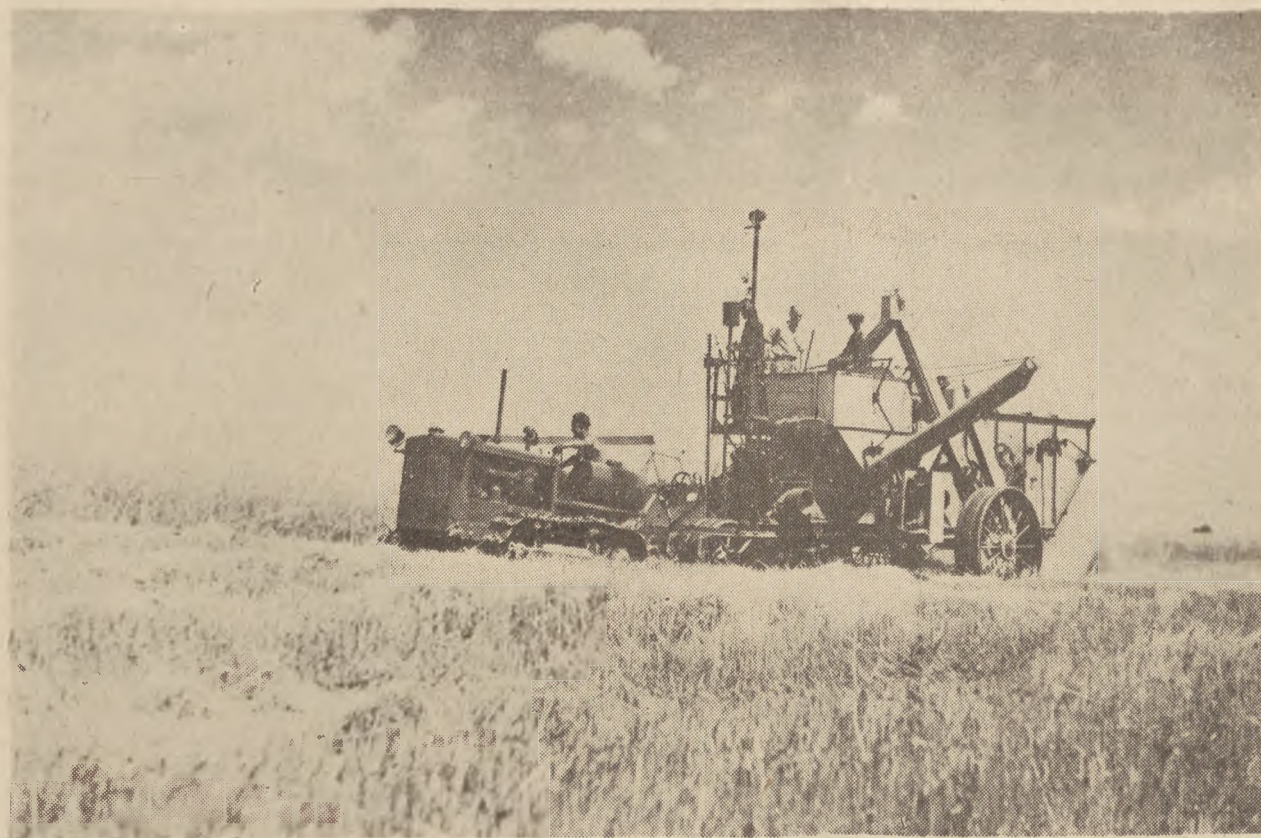
Pomagać przy żniwach można nie tylko w PGR-ach. Wielu z nas będzie w domu na wsi wychodzić w pole wspólnie z rodzicami. A w nagrodę — poczucie dobrze spełnionego obowiązku no i opalenizna taka, jak u tego kolegi na zdjęciu. Foto — CAF

wiedziaby poeta. Ale Tobie chce się krzyknąć po prostu, tak głośno, żeby nie tylko najbliższe mury, drzewa, lasy i wszyscy przechodnie, ale cały świat usłyszał: zdałem wszystkie egzaminy, wypełniłem z honorem swoje obowiązki i za chwilę udaję się w góry, nad morze, nieważne zresztą gdzie; ważne jest natomiast, że mam do tego wypoczynku pełne prawo, nie tylko zagwarantowane odpowiednim paragrafem Konstytucji, lecz przede wszystkim uzasadnione rzetelną, całoroczną pracą i jej wynikami.

To nic, że przyjdzie rozstać się na kilka tygodni z bliskimi sobie ludźmi, sprawami, przedmiotami. Rozłąka nie jest bolesna, kiedy wiemy, że nie będzie długa i że przyniesie nam pożytek.

Otóż to właśnie. Zastanawiasz się nad tym, jak też ułożyć sobie czas, aby tych trzech wakacyjnych miesięcy nie zmarnować. Przebiegasz myślą wszystkie dotychczasowe ferie. Było ich osiem, dziewięć... zaraz, zaraz. Tak, to już w tym roku dwudziestego drugiego lipca minie dziesięć lat, kiedy to manifest lipcowy otworzył Tobie, i takim jak Ty, drogę do nauki. Ledwie wyzwolona, młoda ludowa ojczyzna, z trudem gojąca — zarówno te pozostawione przez kapitalizm, jak też zadane przez okupanta

ki mądrości. Wkroczyłeś na tę drogę z całym swoim młodzieńczym zapałem i wielkim głodem wiedzy. I dziś, kiedy oceniasz ją z perspektywy kilku lat, czujesz jak wielki kredyt zaciągnąłeś wobec narodu, jak



Żniwa za pasem. Na olbrzymich polach PGR-ów pojawiają się kombajny. Jednak tych wspaniałych maszyn nie mamy jeszcze zbyt wiele, dlatego przygotowujmy się do wyjazdu na brygadę żniwną — trzeba pomóc w sprzęcie zbóż; jeśli się dobrze spiszemy, chleba będzie pod dostatkiem. Foto — CAF

z tych wyjazdów zmęczeniu, lecz pogodni przeświadczeniem, że wzięliście udział w toczącej się na wsi walce nowego ze starym, że przybliżacie dzień pełnego zwycięstwa nowego.

Teraz będziesz miał możliwość przebywania codziennie w samym ogniu walki, pełniejszego brania w niej udziału.

wroga, traci orientację. Od właściwej Twojej pomocy w szybkim reagowaniu przez zdrowo myślących, pracujących chłopów na podobne sytuacje, od celności argumentów i bezkompromisowego demaskowania oszczerczych plotek bardzo wiele zależy, tak jak wielkie znaczenie ma Twoja pomoc



Już za kilka dni wyjedziemy na praktykę wakacyjną. Zanim stanęmy przy warsztacie — trzeba poznać teren zakładu, w którym będziemy pracować. Czasem nie jest to zbyt prostą sprawą, jeśli znajdziemy się na przykład w Nowej Hucie, jak ta grupa studentów AGH, którą widzimy na zdjęciu. Foto — CAF

Czeka na Twoją pomoc borykające się z trudnościami, niezbyt umiejętnie prowadzone kółko miczurinowskie. A zdarzyć się może i tak, że nie rozumiejący do końca polityki Partii i władzy ludowej chłop na skutek oszukiwania go przez

władzy ludowej na wsi i w innych dziedzinach życia.

Dlatego też i podczas pobytu w domu, podczas wczasów, obozów, raidu pieszego czy kolarskiego będziesz starał się w miarę możliwości nieść mieszkańcom wsi jak najwięcej dobrej, kulturalnej rozrywki, śpiewu, słowa prawdy o nowej rzeczywistości, a tam, gdzie będzie potrzeba i gdzie będziesz mógł — jak najdalej idącą praktyczną pomoc we wszystkich sprawach.

Dlatego też, jeżeli znajdziesz się tam również na praktyce, czy to będzie PQM, czy PGR — czy zakład przemysłowy produkujący niezbędne maszyny dla wsi — będziesz zawsze miał na uwadze wskazania Partii, że podniesienie poziomu gospodarczego i kulturalnego wsi, to najważniejsze zadanie każdego z nas.

A skoro już mowa o praktykach... Wiesz o tym, że jest

ona nieodłączną częścią Twoich studiów, że stanowi praktyczne uzupełnienie i pogłębienie zdobytych na uczelni wiadomości teoretycznych. Dobrze będzie jednak, jeśli mocno zdasz sobie sprawę z tego, że na Ciebie będą zwrócone oczy kierownictwa zakładu i całej załogi, z którą będziesz pracował. Twoja postawa często będzie przykładem dla innych.

Jeżeli wszędzie tam, gdziekolwiek znajdziesz się podczas trzech miesięcy potrafisz zachować się tak, by Twoja organizacja ZMP-owska i uczelnia miały powód do dumy — śmiało będziesz mógł sobie powiedzieć: „oto i ja włożyłem część swojego trudu w wielkie dzieło narodu i moje ziarno znalazło się w tegorocznych plonach”.

Być może, że nie w takiej kolejności — jak tu próbowałem przedstawić — przejdą Twoje wakacje. Mogłeś zaplanować sobie akurat wszystko na odwrót. Nie to jest istotne, chodzi bowiem o to, abyś mając przed sobą całe trzy miesiące pełne lata, słońca i radości wiedział, dlaczego i komu zawdzięczasz tę radość.

A kiedy z dumą pokazywać będziesz swojej matce indeks z wynikami całorocznej pracy i dostrzeżesz w jej oczach łyżkę radosnego wzruszenia — pomyśl przez chwilę o tym, że nie każdej matce w świecie dane jest taką chwilę przeżywać, że niektórzy Twoi rówieśnicy w krajach, gdzie o pokój walczy się jeszcze krwią i cierpieniem, nie tylko indeksu nie mogą swoim rodzicom pokazać, ale często i sami do nich nie powracają...

Niedawno jeszcze i Ty byłeś świadkiem podobnych chwil. Z mroków wczesnego dzieciństwa wyłaniają się czasem wspomnienia, chyba tylko po to, żeby pomogły jeszcze bardziej cenić i kochać rzeczywistość. I tym razem powtórzysz za poetą:

Wiosno dziejów — pochodzie z czerwienią na czole!
Szczęście drogi słonecznej,
przez ciemność przebitej!
O, szczęście me, że jestem dziś obywatelem
Tej Wspaniałej Rzeczypospolitej!

I postanawiasz dołożyć wszelkich starań, aby była ona jeszcze piękniejsza i wspanialsza!

U w a g a!

Następny numer POPROSTU ukaże się po dwumiesięcznej przerwie w pierwszych dniach września br.

Prof. dr Zygmunt Modzelewski



poświęcił wszystkie swe siły. Życie i działalność Towarzysza Modzelewskiego stanowi dla nas wzór głębokiego patriotyzmu proletariackiego, niezmierzonej ofiarności i oddania.

Sprawie ludu służyła również działalność naukowa i pedagogiczna Towarzysza Modzelewskiego. Stanowi ona wspaniały przykład rewolucyjnego łączenia teorii z praktyką. Prof. dr Modzelewski jako badacz pozostawił po sobie wiele prac z dziedziny historii współczesnych ruchów społecznych, nauki epoki Renesansu, historii Komuny Paryskiej i in. Szczególne zasługi położył rektor Modzelewski jako pionier nowej metodologii naukowej. Jego wystąpienia krytyczne

wywarły ogromny wpływ na rozwój naszej nauki. Był też Akademik Modzelewski tym, który walczył o pełne uczestnictwo w nowej roli nauki w kraju budującym socjalizm, był również jednym z najwybitniejszych organizatorów nauki w Polsce Ludowej. Nieocenione zasługi położył prof. Modzelewski jako pedagog i wychowawca młodych, rewolucyjnych kadr naukowych naszego kraju.

Dnia 18 czerwca bieżącego roku zmarł Towarzysz prof. dr Zygmunt Modzelewski, wybitny działacz rewolucyjny i uczonec, członek Komitetu Centralnego PZPR, członek Rady Państwa, członek rzeczywisty PAN i członek Prezydium PAN, rektor Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR. Śmierć Towarzysza Modzelewskiego stanowi dla nas ciężką stratę, odszedł bowiem Człowiek, który głęboko ukochał lud i sprawę jego wyzwolenia, który sprawie tej

HENRYK KASSYANOWICZ

BANANY i WOJNA

Nikomuto zapewne nie przyszłoby do głowy, że wonne, soczyste banany mogą się stać przyczyną konfliktu zbrojnego, agresji wielkiego państwa przeciwko małemu, 3 milionowemu narodowi. A jednak są państwa, które — jak widać — mają ambicje posiadania nie tylko monopolu na bombę atomową czy wodorową, ale również na banany.

Bo takie bananowe są właśnie kulisy inspirowanej przez Stany Zjednoczone zbrojnej napaści z środkowo - amerykańskich republik Nikaragui i Hondurasu przeciwko Gwatemali. Jak do tego doszło?

Po prostu pewnego pięknego dnia, a działo się to w roku 1952, naród Gwatemali, którego jednym z głównych bogactw są właśnie plantacje bananów, krzewów kawowych, trzciny cukrowej, kakao itd. eksploatowane dotychczas przez amerykański koncern owocowy United Fruit Company, postanowił iż odtąd sam będzie gospodarzył swym majątkiem. W tym celu przeprowadzona została przez rząd, a poparta entuzjastycznie przez naród, reforma rolna, w wyniku której część plantacji należących do United Fruit Co, około 90 tys. ha, rozparcelowana została między bezrolnych chłopów gwatemalskich. Zresztą za odszkodowaniem.

I tylko tyle. Reforma bowiem w niczym nie naruszyła stanu posiadania United Fruit w innych dziedzinach, takich jak transport kolejowy, żegluga, pośrednictwa handlowe, finanse umiędzynarodowione, na przykład robiąc dobrych interesów, aż za dobrych interesów. Z tym jedynie warunkiem, aby część owych 100 milionów dol., które United Fruit zarabiał rocznie na eksploatacji bogactw naturalnych Gwatemali, zostało w kraju, umożliwiając podniesienie stopy życiowej ludności. Katastrofalnej stopy życiowej, jeśli zważyć, że 76 proc. ludności wiejskiej posiadało zaledwie 10 proc. całego obszaru uprawowego. Jeśli wspomnieć tu, że przeciętne płace za 12-godzinny dzień pracy na tychże plantacjach United Fruit nie przekraczały 15 centów, podczas gdy robotnik amerykański za taką samą pracę otrzymywał około 2 dolarów. Ale oczywiście nie podobało się to potentatom z United Fruit, do akcji nariuszy którego należy m. in. amerykański sekretarz Departamentu Stanu John Foster Dulles. I oto rozpoczyna się gra mająca na celu obalenie niewygodnego dla USA rządu w Gwatemali i osadzenie na jego miejsce jakiegoś posłusznego reżimu. Departament Stanu usiłował przy tym narzucić opinię publiczną USA i krajów Ameryki Łacińskiej, jakoby w wyniku reform przeprowadzonych w Gwatemali, na kontynent amerykański wtargnęło „niebezpieczeństwo komunistyczne”, przed którym należy ratować zarówno samą Gwa-

temalę, jak Stany Zjednoczone i pozostałe 23 kraje Ameryki.

Na przykładzie około 30 nieudanych spisów i puców reakcyjnych, przy pomocy których Stany Zjednoczone usiłowały obalić rząd Gwatemali, wnioskować można wszakże, iż naród gwatemalski nie czuje się „zagrożony”. Podobnie pozostałe kraje Ameryki Łacińskiej jakoś nie przeraziły się reformami przeprowadzonymi przez Gwatemalę, a przeciwnie — niektóre z nich, jak na przykład Chile, bardzo się tymi reformami zainteresowały, mając również już dość reakcji amerykańskich monopolów. W rezultacie uchwalono wprawdzie w marcu roku bieżącego na konferencji panamerykańskiej w Caracas pod naciskiem Dullesa „rezolucję antykomunistyczną” z zastrzeżeniem jednak, iż rezolucja ta nie powinna uprawniać nikogo do interwencji w sprawy wewnętrzne obcego państwa, jeśli nie wchodzi w grę zagrożenie bezpieczeństwa i pokoju innych krajów.

Oczywiście reforma rolna przeprowadzona w Gwatemali nie zagrażała ani bezpieczeństwu któremukolwiek z krajów Ameryki, ani pokojowi w tej części świata, natomiast zagrażała zmniejszeniu zysków United Fruit. Cóż więc prostszego, jak stworzyć sytuację, która mogłaby posłużyć jako pretekst do interwencji. I oto po uprzednim „przygotowaniu artyleryjskim” w postaci orgii oszczerstw, kłamstw, pogrożeń i ulotek nastąpiła zbrojna interwencja wielkiego 160-milionowego mocarstwa przeciwko małemu, lecz ośmielającemu się bronić swej wolności narodowi.

Oczywiście, nie bezpośrednio. Stany Zjednoczone użyły jako narzędzia swej agresji dwie republiki — Nikaragwę i Honduras — na terenie których zmontowano armie najemne, wyposażone w instruktorów oraz sprzęt wojenny made in USA. W normalnym ludzkim języku tego rodzaju postępowanie ma ustaloną nazwę. Nazywa się po prostu oplacaniem i wetknięciem noża do ręki mordercy, aby „zlikwidował” ofiarę. W interpretacji amerykańskich opryszków nazywa się to akcją „w obronie pokoju i wolności”. Zresztą inspiratorzy nie uważają nawet za potrzebne specjalnie maskować się. Oto na przykład dziennik amerykański „New York Times” otwarcie stwierdza, iż wprawdzie „sekretarz Stanu Dulles rzadko miesza się w wewnętrzne sprawy innych krajów, ale natomiast jego brat Allen jest bardziej przedsiębiorczy. Jeżeli ktoś chce zacząć rewolucję przeciwko komunistom, dajmy na to w Gwatemali, to nie warto rozmawiać o

Koniec roku akademickiego za pasem. Również na uniwersytetach angielskich czy szkockich ostatni „term” (czyli trymestr) przypada na koniec czerwca, a potem zaczynają się egzaminy. Studenci mają więc w tym okresie te same troski, przeżywają te same emocje co ich koledzy i koleżanki w innych krajach. Ale poza tym życie ich jest inne, odmienne, całkiem różne od życia, struktury i organizacji uniwersytetów na „kontynencie”, czyli w krajach Europy zachodniej, nie mówiąc już oczywiście o wyższych uczelniach w Związku Radzieckim lub w krajach demokracji ludowej.

A różnice te bynajmniej nie ograniczają się do zewnętrznego widoku sali wykładowej czy ulic starych miast uniwersyteckich, którym swoisty koloryt nadają togi i birety (owe olbrzymie „rogatki” z chwastem) noszone przez studentów obowiązkowo na wykładach i na ulicach miasta po godzinie 8 wieczorem oraz uczucie w czasie wszystkich uroczystości uniwersyteckich. To „umundurowanie” studentów jest nie tylko jedną z licznych tradycji kulturowych pieczętujących w tym kraju przez arystokrację, ale służy też praktycznym celom utrzymania dyscypliny niepozabawionej cech anachronizmu. Zewnętrzne rygory dla studentów mieszkających przeważnie w tzw. „college’ach” (rodzaj internatów) są dość surowe. I tak np. nie wolno studentom uczęszczać do „barów publicznych”, przebywać po północy na ulicach miasta, wyjeżdżać poza „dozwol-

ony obszar” leżący w promieniu ok. 20 mil dookoła Oxfordu i Cambridge.

Przestrzegania tych przepisów pilnują tzw. „proctors”, którzy mają do pomocy całą chmarę funkcjonariuszy. Zadaniem ich jest doprowadzanie „przestępców” przed oblicze proctora. By mogli sprostać swojemu zadaniu, rekrutuje się ich przeważnie spośród wyrenowanych sportowców — szybkiebiegaczy i bokserów. Studenci nazywają ich „buldogami”, a widok studenta w rozważanej tocie uciekającego co sił przed „buldogiem” nie jest wcale rzadkością.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu, Edynburgu, które zresztą powstały stosunkowo późno, bo przeważnie pod koniec XVIII i w połowie XIX wieku — jako burżuazyjna przeciwwaga wobec ekskluzywnych i arystokratycznych starych uniwersytetów — nie mogły, chociażby ze względów praktycznych, pielegnować tych tradycji.

Te zwyczaje ograniczają się do dwóch „miast uniwersyteckich”, Oxfordu i Cambridge oraz szkockiego St. Andrews. Uniwersytety w wielkich miastach, jak w Londynie, Liverpoolu,

Nasz czyn lipcowy

Już wkrótce rozpoczyna się wakacje. Po zdaniu ostatniego egzaminu opuścimy mury uczelni i wyjeżdżamy na zasłużony odpoczynek. Większość z nas część wakacji spędzi w rodzinnych wioskach.

Rozumiemy doskonale, że od walki o rozwój produkcji i kultury wsi polskiej zależy nasza przyszłość, przyszłość naszego narodu. Jesteśmy dziećmi chłopów pracujących. Takich jak my na wyższych uczelniach Polskiej Ludowej jest bardzo dużo. Wszystko co zdobyliśmy zawdzięczamy Ludowej Ojczyźnie.

Jesteśmy młodzi. Prawie wszyscy należymy do ZMP. Wiele spraw zrozumieliśmy na wyższej uczelni. Poznajemy najpiękniejszą naukę jaką stworzyła myśl ludzka, naukę marksizmu-leninizmu. Dzięki tej nauce umiemy kochać człowieka. Umie my nienawidzić wroga. Poznajemy logikę walki klasowej. Znamy ciekawe formy pracy z człowiekiem, pracy politycznej. Umiemy wiele spraw zorganizować.

Popatrzmy na nasze rodzinne wioski. Sięgnijmy myślą do miasta, w których żyliśmy przez wiele lat, do których wracamy w czasie wakacji.

Tam, w naszych rodzinnych wioskach żyje młodzież, żyją nasi koledzy, przyjaciele. Czy ta młodzież rozumie sprawy i fakty, które codziennie wokół niej zachodzą? Czy umie kochać książkę? Czy rozumie, tak jak my, politykę Partii? Czy posiada świećlicę? Czy istnieje koło ZMP? Czy tej młodzieży nie przeszkadza biurokrata, nieuk, kulak i sołuszniak kulaka?

Zastanówmy się. Rozumiemy, jak wiele jest braków, trudności i niedostatków w życiu młodzieży wiejskiej. W jednej wiosce rządzi biurokrata, który przeszkadza w rozwoju sportu, w innej — świećlica jest zamknięta, czy też koło ZMP istnieje tylko formalnie. W tych warunkach młodzież często zamiast czytać książki woła kieliszek, chulięganiskie wybrki.

Czy pomagamy jej młodzieży, czy wiążemy się do walki o chleb i kulturę na wsi? Nie zawsze bywa z tą pomocą dobrze. Przyjeżdżając na wies czasami odrywamy się od młodzieży wiejskiej. Nie pomagamy jej w pokonaniu trudności. Sa-

dzimy, że ich sprawy nas nie dotyczą. My jesteśmy już studentami. A przecież właśnie dzięki pracy tej młodzieży my możemy zdobywać wyższe wykształcenie. Wiedza, którą zdobyliśmy i zdobywamy ma służyć ludziom, a więc i tej młodzieży.

Mv, studenci grupy 6 III roku wydziału finansów dużo dyskutowaliśmy nad tymi sprawami.

Wyjeżdżając na wakacje zobowiązujemy się pomóc młodzieży w naszych rodzinnych wioskach w zorganizowaniu życia politycznego, kulturalnego i sportowego. Tam, gdzie koło ZMP nie istnieje, zobowiązujemy się pomóc młodzieży w założeniu koła ZMP.

Postanawiamy uaktywnić pracę tych kół, które istnieją jedynie formalnie, pokazać młodzieży należącą do tych kół nowe formy pracy.

Zorganizujemy dla młodzieży wiejskiej wieczornice o życiu i pracy całej młodzieży polskiej w okresie 10 lat władzy ludowej, opowiemy młodzieży wiejskiej o życiu studenckim, o Stalimogrodzie, mieście, w którym znajduje się nasza uczelnia. Cześć z nas zorganizuje podczas wakacji wia L.S.S. pobudzi do życia te, które istnieją tylko formalnie.

Zobowiązujemy się tłumaczyć młodzieży wiejskiej politykę Partii. Opowiemy jej o przodującym kraju świata — ZSRR. Pomożemy młodzieży wiejskiej w zorganizowaniu świetlicy, biblioteki.

Chcemy, aby w pieśni, w wierszu, książce czy powieści pokazać ludności wiejskiej piękno dni, w których żyjemy, radość młodości, radość naszego studenckiego życia.

Nasze hasło: „Każdy student przebywający na wsi w okresie wakacji organizatorem życia politycznego, kulturalnego i sportowego młodzieży wiejskiej”.

Studenci grupy 6 III roku wydziału finansów WSE w Stalimogrodzie.

ZOFIA GRABOWSKA, LUDWIK WĘGIEL, MARIA SMOLICKA, STANISŁAW LICHON, LEON MONDEL, MIECZYSLAW KABAJ, BOLESŁAW BELCİK, ZYGMUNT KAPEL, FERDYNAND KUPIEC.

Studenckie wystawy

...Doroczna wystawa prac studentów ASP, to duża wystawa. Trzeba minimum kilku godzin, aby choć pobieżnie obejrzeć malarstwo, grafikę, rzeźbę, architekturę, wnetrz, tkaninę, ceramikę, konserwację i scenografię. Pierwsze pytanie, jakie sobie zadajemy, przechodząc przez ciasne pracownie zawieszono i zastawione pracami — brzmi jak od lat: czy jest lepiej? Otóż tak — lepiej rysujemy, proszemy i w bardziej osobisty sposób widzimy świat. Kompozycje nasze zawierają więcej ładunku uczuciowego i ideowego, stają się coraz bliższe temu, co się wokół nas dzieje, wiążą się poważnie w dzieło budownictwa socjalistycznego.

Szczególne osiągnięcia ma grafika. Plakaty jakie widzimy na wystawie dowodzą wzrostu ideowego i artystycznego, zrozumienia przez przyszłych grafików ich bardzo ważnej roli w społeczeństwie.

Malarstwo i rzeźba wymagają dłuższej drogi rozwojowej — nie reagują i chyba nie powinny reagować po reportersku doraźnie, jednorazowo i natychmiastowo. Niemniej jednak wiele kompozycji malarskich i rzeźb porusza najważniejsze zagadnienia naszego życia: problemy wsi, problemy walki o pokój i socjalizm, zagadnienia związane z życiem naszej młodzieży.

XI Sesja Rady Kultury i Sztuki, która bardzo słusznie zrewidowała dotychczasowe metody prowadzenia polityki kulturalnej — zainteresowała żywo naszą uczelnię. Jedno tu trzeba podkreślić: nie wolno w sposób płytki przenosić na przykład zagadnienia „wolności eksperymentu” i dużej swobody twórczej na nasz teren: twórcami jeszcze nie jesteśmy i musimy się wiele nauczyć, zanim zaczniemy eksperymentować. Nowy akademizm? Nie. Przeczyć temu wystawa. Nie ma i nie może być prac niezindywidualizowanych, „poprawnych” — negowałoby to rolę szkoły jako wychowawcy młodych artystów.

Artystami nie stajemy się w dniu otrzymania dyplomu. Jedni są nimi już wcześniej inni stają się nimi później, niektórzy nigdy. Duże osiągnięcia naszych studentów w życiu plastycznym kraju, jak np. uzyskanie II nagrody (pierwszej) nie przyznanej przez grupę architektów wnetrz i rzeźbiarzy w konkursie na Łuk Triumfalny dla Lublina, uzyskanie przez naszych grafików wielu złotych nagród w konkursie na plakat satyryczny dowodzą, że uczymy się coraz lepiej naszego zawodu mimo trudnych warunków, które wynikają z nieregulowania społecznego zapotrzebowania na sztukę. Robi się to dopiero obecnie po XI i XII Sesji Rady Kultury i Sztuki, w przeddzień 10-lecia Polskiej Ludowej. Sprawa ta musi być radykalnie i na stałe uregulowana — jest to warunek, sine qua non rozwoju naszej realistycznej sztuki, a szczególnie malarstwa, właściwego i pełnego służenia społeczeństwu. O tym właśnie mówił tow. minister Sokorski na ostatnim zebraniu partyjnym naszej uczelni.

ZBIGNIEW MAKOWSKI
ASP — Warszawa



R. Gachowski

Projekt wnętrza

PWSSP Wrocław



Litografia
Wł. Buczek
ASP Kraków



Wazon dekoracyjny
F. Nawrocki
PWSSP Wrocław

POŁĄCZMY

przyjemne

Z pożytecznym

W maju br. ogłosiliśmy Wiosenną Ankietę POPROSTU, prosząc naszych czytelników o odpowiedź na 3 pytania:
1) Jak gospodaruję czasem, aby mieć wolną chwilę na odpoczynek i rozrywek?
2) Jak spędzam ten wolny czas?
3) Co umożliwiłoby mi spędzenie tego czasu w sposób bardziej przyjemny i pożyteczny?

Z odpowiedzi napływających do redakcji wynika, że sprawa wygospodarowania czasu na odpoczynek i rozrywek oraz właściwe zorganizowanie tego czasu jest kwestią trudną, a bardzo ważną, nie tylko w okresie wiosny, przed sesją, ale również w ciągu całego roku akademickiego. Z tego względu oraz chcąc umożliwić zabranie głosu w naszej Ankiecie kolegom, którzy rozpoczynają studia dopiero od września br. przedrużamy na życzenie naszych czytelników termin nadsyłania odpowiedzi do dnia 1 listopada br.

Jednocześnie rozpoczynamy druk najciekawszych wypowiedzi.

Plan, kajaki i studencka kawiarnia

Choć nie biorę z reguły udziału w konkursach, jako że lekko zaryzykowałam szczęście omijało mnie wytrwale, to jednak tematyka ankiety zmusiła mnie do zabrania głosu. Sama bardzo często spotykam się z narzekaniem na brak czasu na naukę, gdyż „człowiek musi się jednocześnie ukułuralniać, usportowiać i rozrywać” — jak twierdził kiedyś jeden z kolegów. No i tak się rozrywał, że ledwo na dwa dni przed egzaminem zebrał się jakoś w garść i usiadł spokojnie nad książką. A po egzaminie gdzieś znikł jego zapal do rozrywania się...

Jako studentka III r. polonistki mam już trochę doświadczenia w tej materii. Od razu zaznaczam, że nie jestem wcale przeciwniczką sportu, ani innych przyjemności, lecz nie wpadam w ostateczność, jak wyżej wspomniany kolega.

Radzę sobie tak, jak na to pozwalają warunki w domu studenckim. Mieszkam w siedmiosobowym pokoju, co zapewne wytłumaczy Wam brak w mojej wypowiedzi takich pięknych zdań, jak: „cisza panująca w pokoju pozwalała mi w zdwojonym tempie pracować” lub: „ład i porządek, zwłaszcza na półce z książkami, ułatwiał znakomicie pracę, zaoszczędzając w ciągu tygodnia 5 roboczych godzin, które przeznaczalam na rozrywki”. Niestety. Tego rodzaju sytuację można spokojnie zaliczyć do mitologii.

Pokój do nauki i czytelniej miejskiej to smutna ostateczność, gdyż przypominają bardzo niedwuznacznie wnętrza grobowców, taki mrok i chłód wieje ze ścian. Pozostaje więc łono natury. Zręczam, że biorę pod uwagę okres po zakończeniu wykładów.

Często słyszy się wówczas zdanie: „na początek robię sobie parodię wczasy a potem z kopyta”. Nie warto. Wczasy udają się znakomicie, ale „z kopyta” przechodzi automatycznie w lekką trucht. Znam ten ból. Obecnie radzę sobie inaczej.

Wstaję o 6 rano, a po śniadaniu w towarzystwie jednej lub dwóch koleżanek udaję się nad Odrę. Większy kolektyw jest raczej

niewskazany. Tutaj godzimy kąpiele słoneczne z nauką. Każda po kolei jest lektorką. Krótka powtórka, którą mamy zawsze w programie, nie pozwala pozostałym myśleć o czym innym. W trakcie tego znajdujemy czas i na „plotki”, by odprężyć umysł, panujemy jednak nad tą namiętnością dość dobrze, tak że rezultaty do obiadu są zadowalające.

Po obiedzie (mógłby być lepszy) godzinka lenistwa lub spacer. Po południu zaś doskonale czyta się w parku, na zacisznej ławce. O 19.00 koniec z nauką. Teraz na całą godzinę pochłania mnie gra w ping-ponga na korytarzu w domu studenckim.

Można ten czas wykorzystać również inaczej, np. pójść za głosem serca czyli na randkę lub „ukułuralniać się” czytając zajmującą książkę, względnie posłuchać radia w świetlicy. To zależy od nastroju i temperamentu. Ja osobiście nie zaniebuję żadnej z wymienionych dyscyplin.

Abym nie wpaść w schematyzm mam jeszcze jeden harmonogram dnia. Uczę się do 11 rano, potem do obiadu korzystam z kajaków. Po południu nauka, a wieczorem kino, względnie jakaś robota domowej natury, zwykle bardziej prozaiczna. Zawsze jednak wieczory mam wolne, gdyż jestem wrogiem nocnego uczenia się. Jak dotąd system ów nie zawiodł mnie. Wyniki egzaminów mam dobre i b. dobre. Pozwolę sobie jeszcze na pewien samokrytycyzm. Otóż niekiedy cały dzień przeznaczam na przyjemności, a następny na naukę. Tego jednak nie polecam.

Trzecie pytanie Waszej ankiety jest bardzo istotne i aktualne. Tu otwiera się pole działania dla ZOA i naszej organizacji. Zacząć należy od zapewnienia każdemu DS świetlicy o odpowiednim wyglądzie estetycznym i wyposażeniu. Inaczej nikt tam czasu nie będzie tracił. Czystość, światło, dekoracja, kwiaty oraz odpowiednia ilość świeżych pism i gier zapewni świetlicę popularność. Omawiając już kwestię domów studenckich uważam, że każdy powinien być zaopatrzony w biblioteczkę marksistowską. Szale-

nie ułatwia pracę, gdy potrzebne materiały znajdują się na miejscu, o każdej porze i w odpowiedniej ilości egzemplarzy. Nie zawadziłyby też biblioteczka beletrystyczna. Może to być z powodzeniem filia biblioteki miejskiej, czynna dwa razy w tygodniu.

Kilka słów o sporcie. O ile orientuję się, to dużo młodzieży niezorganizowanej w szeregach AZS uprawia kajakarstwo. Cóż z tego, gdy nie ma przystani akademickiej. W AZS natomiast albo brak kajaków, albo jedynie zrzeszeni mogą z nich korzystać. Istnieją jeszcze inne przystanie, ale te zazwyczaj odstrasza od sportu ceną 4 zł za godzinę. Studencka kieszeń chyli przed tym czoło.

Czy nie można by zorganizować przystani międzyuczelnianej i wyposażać ją w większą ilość kajaków?

Nie inaczej przedstawia się sprawa siatki i kosza. Często przy DS nie ma boiska, a wyprawa na stadion AZS zabiera za dużo czasu, którym i tak skąpo dysponujemy przed sesją.

Została jeszcze jedna rozrywka, którą każdy lubi i przeważnie nie zaniebując jej — taniec. Nie wiem dlaczego utarł się u nas zwyczaj, że wieczorek taneczny bez części artystycznej to forma skostniała, przeżyta i nie należy jej stosować w życiu. A ta część artystyczna? O ile słowo „artystyczna” weźmiemy w cudzysłów, to będzie wszystko w

porządku. Niemożliwością jest co tydzień przygotować dobrą część artystyczną, ale też trudno czekać od wieczorku do wieczorku po trzy tygodnie. A tak niestety bywa.

Może więc inaczej rozwiążemy tę kwestię?

Sądzę, że doskonale prosperowałaby taka instytucja, jak kawiarnia studencka, czynna codziennie wieczorem, do godziny 23.00. „Pod względem bufetu” że się tak wyrażę byłoby to rozbudowaniem kiosku uczelnianego, który prosperuje na każdej uczelni. Orkiestra? Przypuszczam, że wystarczyłby adapter i dobry wybór płyt.

W kawiarni powinny się znajdować rzecz jasna wszelkie pisma i gazety, w sąsiednim pokoju można by umieścić gry, szachy, ping-pong itp.

Na pewno znalazłby się ktoś, kto zagrałby na pianinie, inni pośpiewałiby, zresztą wiemy przecież, że nam nie brak inicjatywy.

Przyznacie chyba sami, że takowe sanktuarium nie świeciłoby pustkami, a byłoby gdzie spędzić mile i pożytecznie wieczór. Oczywiście trzeba by było określić niewielką opłatę za wstęp, np. 1—2 zł, za które to fundusze prenumerować można prasę, sprzątać lokal, kupować igły adapterowe itp.

Na razie na tym się mój koncept i spostrzeżenia wyczerpują.

„WROCLAWIANKA”
Uniwersytet im. B. Bieruta

Nie ma cudów

Ankieta zaczyna się od słów: „Jest śliczna pogoda. Maj i słońce zapraszają na wycieczkę, nad wodę, do parku. Ale zbliża się sesja...” Chcecie wiedzieć, jak jedno z drugim pogodzić. Moim zdaniem można to zrobić tylko w teorii. To znaczy uczę się regularnie cały rok, przygotowuję z wykładu na wykład, a przed sesją tylko małą powtóreczkę... i są piątki plus dużo czasu na odpoczynek i rozrywek. A w praktyce? W praktyce nie ma cudów. Postaram się udowodnić to na swoim własnym przykładzie.

Jestem studentem politechniki. Zajęć — 46 godzin tygodniowo. Do tego dochodzą opisy laboratoriów, a więc jeszcze 6—8 godzin. Przeciwnie wypada około 9 godzin dziennie. Nie jestem specjalnie zdolny, toteż przygotowywanie się do kolokwium zajmuje mi sporo czasu, a kolokwium nie brakuje — w ciągu ostatniego semestru mieliśmy ich osiem. To ma pomagać w systematycznym opanowaniu materiału, ale w praktyce przeradza się w pracę zrywami. Nie mówię już o zebraniach, które też zajmują sporo czasu — ale uważam je za potrzebne i nie widzę żadnej możliwości ich uniknięcia. W sumie na systematyczne,

i do tego twórcze, a nie szkolarskie studiowanie w ciągu całego roku nie mam czasu i siłą rzeczy muszę przed sesją i w czasie sesji zrezygnować z rozrywek i odpoczynku, aby uzyskać zadowalające wyniki z egzaminów.

Możliwe, że nie potrafię właściwie gospodarować swym czasem, ale wydaje mi się, że główną przyczyną takiego stanu rzeczy jest niewłaściwie ułożony program i zbyt duża ilość kolokwium w czasie semestru. Uważam, że zmiana programu jest rzeczą niezbędną, gdyż w obecnych warunkach studenci przeciętnie zdolni nie mają dostatecznej ilości czasu na życie osobiste i rozrywki kulturalne.

Muszę przyznać, że są koledzy, którzy potrafili znaleźć na wszystko czas. Ale są to ludzie bardzo zdolni, lub niezwykle zdyscyplinowani, którzy potrafili sobie każdą godzinę zaplanować i — co ważniejsze — plan ten konsekwentnie realizować. Ja tak nie potrafię, a prócz tego takie „planowane życie” wydaje mi się naprawdę nudne, i mimo że w takim planie jest czas na wszystko — bardzo ubogie.

W. L.
Politechnika Gdańska



Julita Milewska

Plakat satyryczny

ASP Warszawa



SPY DYREKTORZE
WIOSNA ZAORZE

Jolanta Nomarska-Niesytto

Plakat satyryczny

ASP Warszawa

Shaw — młody



Blanka (Zofia Komorowska) i Trench (Zenon Burzyński).

Fot. COPIA

Dorobek Szymona Szurmieja, młodego reżysera teatrów wrocławskich, powiekszył się ostatnio o nową pozycję: „Szczygli zaulek” Bernarda Shaw’a. Po kilku osiągnięciach reżyserskich w sztukach współczesnych („Tania”, „Chirurg”) Szurmiej sięgnął po utwór klasyczny. Wybór padł na jeden z pierwszych dramatów znakomitego pisarza angielskiego, na sztukę o wyjątkowo silnej, jasno sprecyzowanej wymowie ideologicznej. Demaskatorstwo „Szczygłego zaułka” sprawiło, że sztuka ta spośród utworów dramatycznych Shaw’a była i jest najczęściej grywana na naszych scenach.

W dotychczasowych przedstawieniach nie zawsze jednak można było dostrzec jakieś ciekawsze próby poszukiwań interpretacyjnych, pogłębienia problematyki utworu. Na ogół reżyserzy zdając się na sugestywność i siłę przekonywania obrazu Shaw’a, demaskującego zgniliznę kapitalistycznych stosunków między ludźmi — ograniczali się do mniej lub więcej poprawnego odczytania tekstu i przeniesienia go na scenę. Z tym większą satysfakcją oglądamy więc przedstawienie

wrocławskie, różniące się od innych śmiałą i konsekwentnie przeprowadzoną myślą reżyserską, która przy całym pietyzmie dla tekstu sztuki potęguje wymowę utworu, dodaje mu politycznej pasji w demaskowaniu środowiska przedstawionego na scenie.

Angielski krytyk — marksista Alick West tak pisze o „Szczygłym zaułku”: „W sztuce tej Shaw nie posłużył się swymi postaciami dla pokazania warunków panujących w slumsach; posłużył się natomiast tymi warunkami dla pokazania swych postaci. Charaktery: właściciela slumsów Sartoriusa, jego córki Blanki, agenta Lickcheesa’a i młodego lekarza Harry Trench’a nie są potraktowane powierzchownie z pominięciem całości warunków, w których żyje jednostka; charaktery ich stanowią część owego rzeczywistego życia społecznego, o którym wszelką wiedzę burżuazja chciała by zniszczyć. Istotą ich bowiem jest to, że tuczą się na nędzy slumsów: „jak muchy na nieczystościach”, by zacytować powiedzenie Shaw’a z przedmowy do „Nieprzyjemnych sztuk”. Powiedzenie takie nadaje szczególny charakter sztuce. Można odpowiedzieć muchy od ich żeru, ale

stadają potem z powrotem na nieczystościach z jeszcze bardziej żarłocznym apetytem”.

W postaciach „Szczygłego zaułka” skupił Shaw typowych przedstawicieli rozwijającego się systemu kapitalistycznego z całą ich burżuazyjną moralnością, poglądami i sposobem życia. Oczywiście nie wszyscy bohaterowie sztuki są od początku jednakowymi łotrami. Obok Sartoriusa, skończonego wyzyskiwacza, zaprawionego i doświadczonego w swym fachu przedsiębiorcy, widzimy młodego doktora Trench’a, kierującego się szlachetnymi porывami, czującego wstręt do swego przyszłego teścia, który czerpie dochody z ohydnych ruder zamieszkiwanych przez najuboższą ludność Londynu. Dalej — Blanka, córka Sartoriusa, wychowana w ciepłarnianych warunkach burżuazyjnego domu — wydaje się być nieświadomą ofiarą ojca, który nie zdradza jej źródła swych dochodów. I wreszcie Lickcheese, administrator slumsów Sartoriusa, przedstawiciel dna nędzy ludzkiej, którego postać budzi na początku sztuki wiele współczucia.

Wydałoby się, że wymienione postacie, oprócz Sartoriusa, to kandydaci na pozytywnych bohaterów „Szczygłego zaułka”. Ale oto „szlachetny” Trench bez większego oporu zostaje współnikiem Sartoriusa. Blanka, dowiedziawszy się wreszcie o źródłach dochodów ojca, ani myśli wyrzekać się dotychczasowego trybu życia; nie chce pamiętać, że jej matka była zwykłą praczką. A biedny, wynędzniały lumpenproletariusz Lickcheese wychwytywa pierwszą nadarzącą się okazję, aby stać się wyzyskiwaczem. I gdy wszyscy w ostatnim akcie zasiadają w salonie, aby omawiać najbliższe dochodowe interesy, nie mamy wątpliwości: nikt z tego towarzysztwa nie reprezentował nigdy poglądów, które prowadziłyby do usłowania zmiany na lepsze istniejących stosunków społecznych. Demaskatorstwo „Szczygłego zaułka” polega nie tylko na ukazaniu warunków kapitalistycznego wyzysku. Shaw z całą ostrością pokazuje również proces rodzenia się wyzyskiwaczy, którzy wychowani w swojej klasie, łatwo potrafią stłumić w sobie ludzkie uczucia. Nie ma w tym utworze pozytywnego bohatera.

Z takiego odczytania sztuki dla reżysera spektaklu wynikają pewne konsekwencje. Ogólnie i w sposób nieco uproszczony można je sformułować następująco: bohaterowie „Szczygłego zaułka” to nie słabe ofiary systemu, który nie pozwolił

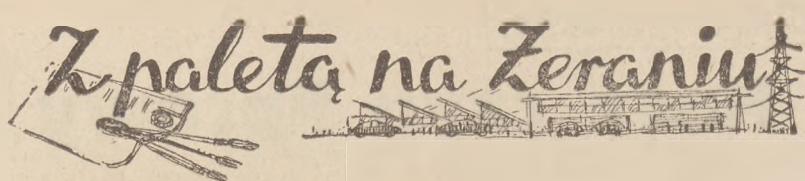
im inaczej ułożyć sobie życia, ale świadomi jego twórcy.

W przedstawieniu wrocławskim ta ogólna teza znalazła bardzo silne uzasadnienie. Szurmiej pogłębił wymowę przedstawienia przede wszystkim przez ustawienie postaci Trench’a. Nie jest to szlachetny, pełen poświęcenia lekarz, w którym obserwacja ludzkiej nędzy mogłaby budzić nie tylko współczucie, ale jakieś głębsze, oparte na podłożu społecznym refleksje, który moralnością i poglądami wyrażałby ponad swoje środowisko, swoją klasę. Dużą pomoc znalazł reżyser w odtwórcy roli Trench’a — Zenonie Burzyńskim. Potrafił on ukazać swe szlachetne odruchy jako rezultat młodości. Znikają one zupełnie pod wpływem argumentów Sartoriusa i erotycznego uroku jaki przed Trenchem rozciąga Blanka.

Bardzo wyraziście wypunktowane zostały przez reżysera wszystkie kwestie demaskujące podłość i zgniłą moralną Sartoriusa i Lickcheesa’a, trafnie zrozumiane i dobrane oddane w całości ról przez Stanisława Igara i Ignacego Machowskiego.

Oddzielna wzmianka należy się Barbarze Jakubowskiej za postać Blanki. Jest to pierwsza większa rola tej młodej aktorki uwieńczonego dużym sukcesem. Mimo zrozumiałych, nielicznych zresztą, niedostatków w opanowaniu techniki aktorskiej Jakubowska przyjemnie zaskakiwała widzów dużym ładunkiem zmiennych uczuć, wewnętrzną pasją i dużą skalą środków wyrazu (scena ze służką).

Ocena wrocławskiego „Szczygłego zaułka” nie byłaby pełna, gdybyśmy nie wspomnieli o jednej z głównych cech warsztatu reżyserskiego Szymona Szurmieja. Wyniósł on z radzieckiego teatru duży rozmach w ukazywaniu ludzkich konfliktów i napiętności. Teatr Szurmieja nie jest teatrem kameralnym. Bohaterowie sztuk przez niego reżyserowanych nie kryją się ze swymi uczuciami — przeciwnie: są pełni gwałtownej pasji. Przebiegało to wyraźnie i w „Szczygłym zaułku”. Dialog, dyskusja — tak typowe dla sztuk Shaw’a — znalazły równowagę w tych nielicznych scenach, które dawały okazję do wydobycia z bohaterów ich ludzkich, gwałtownych napiętności. Zaletą wrocławskiego spektaklu (który tak silnie „bierze” widownię) jest właśnie to przybliżenie klasyka naszej publiczności, niejako uwspółcześnienie go. Zobaczyliśmy Shaw’a młodego.



(List pisany jeszcze w maju)

Koleżanki i koledzy!

Praagniemy Wam opowiedzieć, jak w marcu br. studenci warszawskiej ASP nawiązali współpracę z Fabryką Samochodów Osobowych na Żeraniu.

Nasza współpraca nie kształtowała się łatwo, nie obeszło się bez pomocy t.zw. czynników, ale w tej chwili nasz stały kontakt jest już zjawiskiem obiektywnie istniejącym. Dlatego więc chwyciliśmy dzisiaj za pióro — Hanka z ASP i Janusz z Żerania.

— Janku, opowiedz od czego zaczęła się nasza znajomość, pamiętasz?

— Na początku było zobowiązanie podjęte przez załogę fabryki przed II Zjazdem Partii. Właśnie w przeddzień historycznego Zjazdu w naszych zakładach stanęła Aleja Przdowników — portrety wykonane na prośbę Komitetu Zakładowego PZPR przez studentów Akademii Sztuk Plastycznych. Znacznie później dowiedzieliśmy się, że studenci Akademii również realizowali w ten sposób swoje zobowiązania przedzjazdowe.

Z zainteresowaniem śledziliśmy pracę młodych plastyków. Nie szczędziliśmy nawet krytycznych uwag, gdy portrety przodowników były już gotowe. Bardziej złośliwi utrzymywali, że jak się dłużej przyglądać, to pewne podchcenstwo można uchwycić i właściwie wiadomo, „kto jest kim”... złośliwców tych było jednak niewiele, mogą szczerze powiedzieć, że studenci wywiązali się z tej roboty bardzo dobrze.

Po tej pracy przyszły następne. Studenci ASP bardzo poważnie przyczynili się do dekoracji fabryki na święto 1 Maja. Wystawa satyryczna, którą obejrza robotnicy w przeddzień święta 22 lipca, także wyszła spod pędzi młodych adeptów sztuki.

A wyjazd ośmioosobowej grupy studentów ASP z żerańską ekipą łączności na wieś był chyba pierwszym zbliżeniem o charakterze mniej oficjalnym. Pamiętnej niedzieli studenci wykazali tyle werwy w tańcu i śpiewie, że wprawili w zdumienie chłopaków z Żerania, nie spodziewających się żywszych odruchów u prze — in — te — lek — tu — a — li — zo — wa — nych plastyków. Studenci natomiast gorąco oklaskiwali ewolucje na dziurawej łożzi jednego z kolegów z FSO w pięknym nowym, wiosennym garniturze zakończone efektownym, choć przy musowym skokiem do wody pośrodku rzeki.

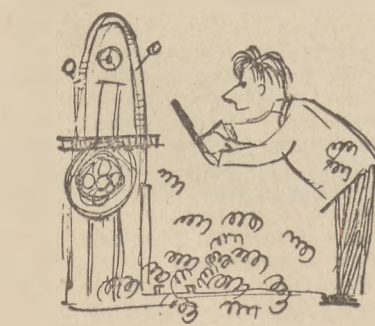


Jedni i drudzy zaś z równym zapalem porywali w wir zabawy stateczne wiejskie babcie, gospodarzy — spółdzielców oraz dzieci, których było co niemiarą.

Ciekaw jednak jestem, co myślicie o naszej współpracy, wy sami studenci. Hanka, opowiedz się w imieniu i o sobie”...

— Najpierw poddam się fali wspomnień. Do dzisiaj dźwięczą mi

w uszach burzliwe, owacyjne oklaski, jakimi przyjęli studenci, pedagodzy i pracownicy ASP proste i mocne słowa przedstawiciela załogi FSO wygłoszone na zebraniu pierwszomajowym w naszej uczelni. Jeszcze długo po 1 maja przemówienie młodego robotnika było przedmiotem zainteresowania i ożywionych komentarzy.



Korzyści, jakie już dał do tego czasu studentom kontakt z młodzieżą FSO, mają charakter wybitnie poznawczy. Wielu z nas na oczy nie widziało „prawdziwej” fabryki, toteż obejrzenie nowoczesnych urządzeń i pracy robotników dostarczyło nam moc niezapomnianych wrażeń. Trzeba przyznać, że niezbyt pewnie poruszaliśmy się między warczącymi maszynami, buchającymi żarem piecami i młotami kowalskimi, z lekkim obserwowując lecące opłuki, wiórki i płynne, rozpalone do czerwoności żelazo. Studentów, którzy zwiedzili fabrykę, nie trudno było odróżnić na uczelni od innych. Rozmawiali „fachowo” o frezach i hydraulicznych szlifierkach, a z kieszeni sypały się im bajecznie błękitne, stalowe wiórki.

Wielkim przeżyciem dla nas było zapoznanie się z pracownikami — bohaterami pracy socjalistycznej. O nich jednak, o ludziach Żerania, napiszemy Wam w przyszłym roku specjalny artykuł.

Przekonaliśmy się, że nasi przyjaciele z fabryki interesują się nie tylko swoimi zawodowymi, ale wszystkimi aktualnymi problemami. Rozmowy o doświadczeniach Olgi Lepiezińskiej, teorii Oparina, o ostatnio wystawionych sztukach i wydanych książkach wywołały nawet u niektórych studentów lekkie rumieniec wstydu z powodu własnej niewiedzy i silne postanowienie uzupełnienia luk w swoich wiadomościach. Jeśli dodam, że koledzy z Żerania są młodzi i hm... przystojni, to nie dziw, jeśli czasem mi się zdaje, że to nie życie, a powieść schematyczna. W takiej chwili biorę słuchawkę i rakręcam numer centrali FSO. Miły głos telefonistki, niezmordowanie powtarzający: zajęte... zajęte... zajęte... przekonuje mnie, że rzecz dzieje się w najprawdziwszej rzeczy wistości,

*

Koleżanki i koledzy z innych uczelni! Piszemy Wam o naszej przyjaźni, gdyż bardzo zadowoleni jesteśmy z dotychczasowej współpracy i przekonani, że będzie się ona zacieśniać coraz bardziej. Ciekawi nas także jesteście, jak Wy, w szczególności studenci szkół artystycznych, realizujecie swoje zobowiązania kontaktami z ośrodkami robotniczymi i wiejskimi. Napiszcie nam o tym na adres Akademii Sztuk Plastycznych (ul. Krakowskie Przedmieście 5) lub na adres POPROSTU.

HANKA PUŁAWSKA
ASP — Warszawa
JANUSZ JEDYNAK
FSO — Żerań

Kol. R. Wiśniowski, autor „Felietonu zgrzyliwego” (patrz POPROSTU nr 23 (289)) usiłował przez zestawienie nudy cechującej obecnie życie studenckie, z przedwojennym życiem, górnym i chmurnym (jak zrozumiałem chodzi o młodzież postępową) wywołać zgrzyliwy kontrast. Oczywiście na niekorzyść życia obecnego. Chociaż zrozumiałem, że kol. R. Wiśniowskiemu chodzi o przejmowanie się walką, wiedzą itp. to jednak wypadło to jakoś niezręcznie, ponieważ na pewno niezjedzony obiad i dziurawe buty nie są najbardziej mobilizującym czynnikiem do odczuwania „smaku wiedzy”. Natomiast bujność życia w porównaniu uprzednim nie wymaga komentarzy. Zresztą, warunki tak się zmieniły, że właściwie w tej chwili trudno jest znaleźć jakąś płaszczyznę porównania.

W dalszej jednak części felietonu poruszył Wiśniowski szereg problemów wymagających moim zdaniem szerszego omówienia, a głównie zagadnienie masowości kultury.

CO ROZUMIEM PRZEZ MASOWOŚĆ

Koledzy z Łodzi powołując się na II Zjazd i XI Sesję (list cytowany w „Felietonie zgrzyliwym”) mówią: „Jeżeli masowość musi być połączona z nudą, to dziękujemy za taką masowość”. I wyprowadzają za taką wniosek: „Wolimy, żeby 10 osób ba-wiło, względnie dostarczało głębokich wzruszeń dla 500 osób, niż żeby 500 osób nudziło te 10”. Przyznam się szczerze, że ja też bym wolał.

Praca zwana kulturalno-masowa ma na celu upowszechnianie kultury i inspirowanie oraz opiekę nad

twórczością samorodną. Czyli na pierwszym miejscu stoi zagadnienie upowszechniania kultury, czyli prowadząc dalej, zgoda z tezą kol. Wiśniowskiego — w kulturze masowej nie musi być nudy. Przykład. Między innymi masowe upowszechnianie kultury polega na chodzeniu do teatru, więc jeżeli zakupimy widownię na widowisko „Horsztynski”, to upowszechnienie będzie niewątpliwie masowe i nie będziemy się nudzić.

Jeszcze raz podkreślam, że kulturalna masowa — to znaczy udostępnienie jej jak najszerszej rzeszy odbiorców. A dopiero następnym etapem jest twórczość samorodna. I musi ona wypływać z kulturalnego przygotowania otwórców. Musi być podyktowana chęcią przekazania czegoś od siebie innym. Bo chociaż ludzi gotowych do odczuwania przeżyć estetycznych jest wielu, to chętnych przekazywania swych przeżyć innym jest dużo mniej.

Stąd wypływa drugie zagadnienie. Zgadnam się z tezą kolegów z Łodzi, że lepiej jest spośród 500 osób wybrać 10, by mogły dostarczyć przeżyć artystycznych reszcie, niż zmuszać całe 500 do wątpliwej jakości produkcji artystycznych, nudzących innych. Konkluzja — praca kulturalna powinna cały nacisk położyć na umasowienie kultury w sensie udostępnienia jej jak najszerszej rzeszy — w tym wypadku studentów. Grupa młodzieży żywiej

reagująca, pobudzona pewną sumą przeżyć zechce sama we własnym zakresie zorganizować życie kulturalne. I tak — aby dyskutować o powieści trzeba mieć przeczytaną nie jedną książkę, ale w ogóle czytać systematycznie. Żeby czuć potrzebę śpiewania, trzeba mieć zdolności, ale także trzeba umieć reagować na muzykę — co osiąga się poprzez wysłuchanie pewnej ilości koncertów orkiestr, wchłanianie muzyki masowej i nie będziemy się nudzić.

drmatyczne, trzeba samemu chodzić do teatru itd. itd.

EFEKCIARSTWO — ABSURD PRACY KULTURALNO-MASOWEJ

Pisał kol. Wiśniowski i słusznie, że nasza młodzież, szczególnie ta od kultury, chodzi z nosem na kwintę w charakterze mecenasów. Dziwi mnie natomiast, że on im się dziwi. Pewno rzadko byłwał członkiem artystycznego zespołu.

Jak to mniej więcej wygląda (głównie) przypomnienia kol. Wiśniowskiego: łapie się kogośkolwiek, wlatcza się go pod presją do czegoś innego zespołu, (głównie chór lub zespół taneczny) nie pytając w zasadzie o zgodę, ponieważ Komitet Uczelniany ZSP postanowił mieć 120 osób w chorze. Jak jest wynik; na próby przychodzi 20 zapaleńców, którzy mogliby stworzyć dobry chór 20-osobowy i którym ta reszta spro-

wadzona pod presją od czasu do czasu na próbę, po prostu przeszkadza.

Czy był wypadek, aby gdziekolwiek jakiś zespół chodził zbiorowo na występy innych dobrych zespołów o podobnym charakterze, żeby przy okazji móc się czegoś nauczyć? Przez ciągłą płynność niezainteresowanych, przez brak podniety z zewnątrz w postaci wysoce artystycznych występów, nie widząc sensu swej pracy ludzie często tracą do

niej ochotę. A w obliczeniach instancji figuruje: 120 osób rozentuzjazmowanej młodzieży, masa, kultura u nas kwitnie masowo.

Przed eliminacjami groźba i próśba organizuje się 120 osób, które rzygną na całą salę wprawiając w zachwyt komisję, notującą, punkty za ilość, za masę. Efekciarstwo doprowadza do tego, że na przykład PW zaopatrzona w swój zespół pieśni i tańca zwany złośliwie „półkiem działaczy na PW” zupełnie zatracca poczucie pracy kulturalno-masowej. Przecież jeden zespół tworzony pod hasłami: „Po trupach do pierwszego miejsca”, przez co zatracca się kontrolę nad całą pracą kulturalną uczelni, nie jest żadnym osiągnięciem. Tu kryje się tajemnica niewielkiej ilości zespołów dramatycznych i recytatorskich. Dużo pracy, a efekt znikomy. Gdzieś porównanie z barwnym tańcem lub chórem. Nie wiem tylko czy głównym efektem pracy kulturalno-masowej ma

być pokaz. No cóż, Rysiu, czy cię przekonana ta garść uwag, której celem było usprawiedliwienie nosów spuszczonej na kwintę?

KTO KIERUJE KULTURĄ?

W pewnym miejscu „zgrzyliwego felietonu” czytamy: „Wina leży w tym, że pozwoliliśmy się wtłoczyć w ramki instrukcji, że spuściliśmy nosy na kwintę, że przyzwyczailiśmy się, aby ktoś za nas myślał”. Wszystko z góry do dołu niepraw-

da. Niekonsekwencja w wypowiedzi, bo jeżeli ktoś nas wlatcza w ramy instrukcji to nie może w tym czasie myśleć. Robi to bezmyślnie. Prawda? A nos na kwintę nie znaczy, że my przestaliśmy walczyć, że przestaliśmy myśleć.

Chcąc zorganizować coś twórczego, coś nowego, trzeba przewalczyć wszystkich „urzędników” od najwyższych instancji do najniższych. Urzędników w takim tego słowa znaczeniu, dla których nieważny jest człowiek, zespół, a ważna jest ankietna zespolowa i sprawozdanie.

Przeważnie ludzie na stanowiskach PKM najmniej są zaangażowani w sprawy kultury. Najmniej czytają, najmniej chodzą do kina i teatrów i najmniej znają się na pracy zespołów artystycznych. Postawiono ich na te stanowiska ponieważ są dobrymi organizatorami.

Niestety taki jest jeszcze często aparat PKM ZSP. Niechęć do dyskusji o powieści, sztuce, filmie wyni-

ka z tego, że „urzędnik” prowadzący dyskusję przeważnie ma przygotowany pewien zapas sloganów na temat dyskutowanego dzieła. I który niestety przy małym zaangażowaniu się w pracę kulturalną nie twórczego w ten temat wymyślić nie potrafi. Aktywista pracy kulturalno-masowej często jeszcze jest człowiekiem, który przeważnie nie ma czasu na tzw. życie kulturalne i któremu, cytując: kultura wychodzi bokiem. Jego praca sprowadza się do ankietyzacji i telefonowania. Niestety, nie twórczego w ten sposób zrobić się nie da, a przeciwnie, ten stosunek hamuje pracę.

Ale zapalenia kulturowcy potrafia ominąć typowych urzędasów i zabrać się do energicznej pracy umasawiającej kulturę, wymagającej od aktywisty, szczególnie PKM, aby swoje stanowisko zaważczał znajomością pracy i dużej, dużej wiedzy z dziedziny kultury.

Jesteśmy w tej chwili na dobrej drodze. Pomogły nam w tym II Zjazd i XI Sesja. Teraz już nikt się nie wstydy, że ma czas na beletystykę i teatr. Bo do niedawna jeszcze wg. niektórych aktywistów było to w „złym tonie”.

NA ZAKOŃCZENIE

Dziennikarza, przyjaciela kolegi Wiśniowskiego, który cierpiąc na nudę z powodu braku entuzjazu wśród studentów musiał pocieszać się Krupem, smętnym tangiem i Baxterem zapraszamy, żeby częściej szedł między lud „studentów”. Może zrobi mu się wesele. Podejrzewam, że w terenie, skąd miał przywieźć reportaż, trafił nie tam gdzie trzeba. Trafił do „urzędniców”. Odnieście mogą go nauczyć jak należy ich omijać.

JERZY MARKUSZEWSKI

Masowość i niemasowość

O G I E Ń

„Przekleństwo ustroju kapitalistycznego polega nie na tym, że obfituje ono w szczególnie złych ludzi, ale na tym, że zmusza ono ludzi, w gruncie rzeczy dobrych, uczestniczyć w złym”.

(Illa Erenburg).

Było to 4 sierpnia 1914 roku. Do biura komisji poborowej w Albi, departament Tarn, zgłosił się jako ochotnik pewien 41-letni mężczyzna. W kilkanaście dni później otrzymał on w intendenturze 35 pułku pospolitego ruszenia czerwono - niebieski mundur armii francuskiej. Był nań trochę za duży. Natomiast kepi pasowało w sam raz i nie spadało zbyt głęboko na czoło, za którym myśli o zagrożonej Ojczyźnie przeplatała tęsknota do żony.

Mężczyzną tym był Henri Barbusse. Napisał on do owego czasu kilka powieści, tomik wierszy i mimo że szukał prawdy jeszcze na manowcach idealizmu, uważał się już za socjalistę. Kochał lud, potępiał publicznie krzywdę społeczną. Wojna, jak później stwierdził, „ukazała mu przepaść, na której skraj przywiódł nas stary świat ucisku, despotyzmu i przywilejów, świat imperializmu, silny jedynie siłą pieniądza”. W okopach frontu ujrzał kto dźwiga brzemień wojny, a na tyłach — kto ciągnie z niej zyski. Naga prawda owych lat zmusiła go do zerwania z idealistyczną interpretacją historii. Tak powstał „Ogień” — książka pisana w okopach, książka, która wstrząsnęła światem 50 wydaniami w wielu językach, książka „straszalna i radosna”, a „prosta jak Ewangelia” (Gorki).

Wiele trzeba było odwagi, by tak a k a książkę napisać w roku 1916. Według słów Romain Rollanda „przywódcy polityczni wszystkich partii dosiadałi wtedy starej, wypróbowanej kobyły, Francji, zdecydowani trzymać się tak długo, aż bydlę wygra lub padnie”, a prasa siedząca w kucki dookoła rzezi biła brawo, bełniła piszczałami w kociołki, wyla z uciechy. Barbusse rzucił tym wszystkim wrogiom ludu i ludzkości wyzwanie. Zdemaskował ohydę propagandy nacjonalistycznej, obnażył nicłość pacyfistycznych hasel części burżuazji, postawił wojnę pod pręgierzem. A że uczynił to z uderzającym artystyzmem, przepojonym rewolucyjną treścią i płomienną pasją wielkiego humanisty — odniósł sukces niebывały. Nawet reakcyjna krytyka nie mogła przemilczeć „Ognia”. Usiłowała ona co prawda zamazać wymowę polityczną tej książki, ale naród nie dał się oszukać. Miliony żołnierzy przynosiło do domów prawdę o wojnie.

Artystycznym wyrazem tej prawdy, pogłębieniem jej i uogólnieniem stał się „Ogień” — nieduża książka, pisana w formie pamiętnika, który przedstawia dzień po dniu losy oddziału złożonego z kilkunastu ludzi.

Najpierw widzimy ich jak przedzierają się przez kanały rowów

łącznikowych: „Z głębi tych studni wylaniają się wielkie, bezkształtne cienie, niby stada brnących przez błoto, gniewnie porykujących niedźwiedzi. To my”. Później poznajemy ich z nazwiska, zawodu i zamiłowań. Oto stoi przed nami Blaire, dzierżawca spod Brie, który mógłby być ojcem Biquela; oto górnik Poterloo i aptekarz Andrzej Mesnil, a tam kpiarz Tiret, człowiek - cyfra Cocon, czy szynkarz Eudore, który — jak powszechnie wiadomo — nie ma szczęścia. Ilu z nich wyjdzie cało z płomieni ognia szalejącego nad horyzontem...?

Na razie są poza jego zasięgiem. Czekają na zupę („na wojnie wciąż się na coś czeka”) i dopytują się wzajemnie „po co to wszystko” — naturalnie bezskutecznie. „Lepiej nie myśleć” — oto konkluzja. Nie stoją jeszcze w obliczu beznadziejnej śmierci, mają wiele codziennych zajęć, radości i kłopotów. Kopią w nocy kilometry rowów, piszą listy, kłócą się z handlarzem o cenę flaszki wina, zastanawiają się co będzie niezbędne do ekwipunku t a m — na linii.

Na pierwszą linię frontu każda kompania idzie co 6 tygodni. I dopiero „wśród tej krajinie zaludnionej, ognistymi, dzikimi zjawami, wśród tych pół zmiażdżonych brzemieniem nieba”, świat i ludzie nabierają wyraźnych kształtów, obnażają się ludzkie charaktery i tragedie. Barbusse widzi je i skrzętnie notuje, mimo że sam podlega prawom rzezi. Refleksje swoje przekazuje w słowach nabrzmiałych gniewem, w zdaniach, które widok pleneru zapełniają żywymi postaciami. „To nie żołnierze, to ludzie — pisze o swych towarzyszach. — Są gotowi. Czekają rozkazu, aby pójść na śmierć lub mordować... W pełni świadomości, jak w pełni sił i zdrowia, zbierają się tu, aby raz jeszcze odegrać osobliwą rolę szaleńców, do której zmusza ich szaleństwo rodzaju ludzkiego”. Tak jest na pięć minut przed atakiem. Aż nagle...

„Na całej linii, z lewej strony ku prawej, niebo tryska smugami płomieni a ziemia fontannami wybuchów. Potworna zasłona rozsnuwa się przed nami, odgradzając nas od świata, od przeszłości i przyszłości. Stajemy jak wrośnięci w ziemię, oszołomieni tym nagłym zalewem grzmiącego zewsząd ognia; zaraz jednak, uniesiona jednocześnie zrywem, masa żołnierzy rzuca się całym pędem naprzód. Chwilemy się, czeplamy jedni drugich, spowłó kłębami dymu. Widzimy, jak wśród przeraźliwego loskotu i tryskających z ziemi wulkanów w głębi parowu, tam dokąd błądnie niebezpiecznie, otwierają się tu i ówdzie kratery, jetne obok drugich, jedne w drugich. Potem nie wie-

my już, gdzie padają pociski... Wicher śmierci gna nas, porywa, kołysze. Rzucaamy się na oślep przed siebie. Mrużymy załamione, niewidzące oczy. Grzmiąca, rozpęta przed nami lawina przesłania nam świat. To ogień zaporowy”. Niektórzy przedarli się przezeń. Okop wroga! Rozrywają się granaty. Walka na noże i bagnety. Wreszcie ucicha rżenie ostatniego dorżniętego Niemca. Zwycięstwo. Koniec.

Koniec tej walki, ale właściwie początek tego, co wyróżnia książkę Barbusse’a spośród dziesiątek pacyfistycznych powieści mieszczańskiej literatury powojennej. Tam bowiem kończyło się na opisie potworności tej dzikiej samobójczej roboty, jaką jest wojna. Tam żaden autor nie zdobył się na wyrażenie niczego innego poza pesymizmem, niewiarą w ludzkość. Zaden z nich nie pokusił się, bo i pokusić się nie mógł, o analizę społecznych źródeł wojny, o pokazanie sił, które groźbę wojny mogą zniweczyć. Oslawiona książka Remarque’a „Na zachodzie bez zmian” może tu być wystarczająco dobitnym przykładem.

Dla Barbusse’a natomiast groza wojny, jej niehumanizm, jest dopiero punktem wyjścia. Oddział jego zdobył okop niemiecki, lecz głosy upojenia są nieliczne. Panuje raczej radość: „...chłubią się jak sławą tym szczęściem, że udało im się przeżyć...”. A w kilka godzin później ktoś „prostoduszny” mówi: „nikt z nas nie jest zły; jesteśmy biedni i nieszczęśliwi. Ale tacyśmy głupi, tacy głupi!”.

Prawda o wojnie objawia się im w całej swej pełni kilka dni później. Rozkaz wypędza ich do kompanii okopów na bagnistej równinie przedpola. Wymacują ich reflektory. Artyleria niemiecka roznosi ludzi, wciska ich w błoto

grząskie jak gorąca czekolada. Jakis pocisk wydrążył źródło podskórnej wody. W dodatku zaczyna lać deszcz. Ludzie błakają się w ciemności, w końcu padają bezwładnie u stóp jakiegoś pagórka. Tak zastaje ich świt: „Deszcz ustal. Niebu zabrakło lez... Pole bitwy nie śpi, jest martwe. Gdzieś daleko trwa może życie, lecz my nie sięgamy tam wzrokiem”. Zaczynają czuć się, napotykają innych: „Wylaniają się zewsząd wśród tej straszliwej nocy jak widma, w jednakowych mundurach utkanych z nędzy i błota”.

Potem spotykają Niemców, jeszcze przytomnych. Gnieżdżą się razem w błocie, a słowa sączą się jak woda, która z sukiennych spodni ścieka im do butów. „Kiedy dwie armie się biją, to jakby jedna wielka armia, która popełnia samobójstwo”. Ludzie, którzy zabijali się wzajemnie, a teraz nie mogą się między sobą odróżnić — to bratobójcy a nie wrogowie. I oni to zrozumieli. Padają słowa, że narody powinny porozumieć się ponad głowami tych, którzy wyyskują je i w imię swych interesów pchają do wojny. Pada słowo rewolucja.

Taka jest książka Barbusse’a. Wzbudziła ona jeszcze w czasie wojny ruch antyimperialistyczny. Obecnie, gdy na całym świecie toczy się walka narodów przeciw próbom wywołania trzeciej pożogi światowej, nie straciła nic ze swej aktualności,

*) Henri Barbusse: „Ogień”. Wyd. Czytelnik, 1953. str. 309. Opowiadania, przemówienia, artykuły i listy: str. 311—515. Tłumaczyła z francuskiego i zaopatrzyła przedmową Zofia Jaremkopytowska.

Lato szczęścia

Owiany
zapachem siana,
chodzę po raju,
którym jesteś
ty, moja ziemo.

Nie potrzebuję oczekiwać
spełnienia
moich snów
na jakimś
tamtym świecie.

Owianemu żywym ciałem
wonnego lata,
brak mi już tylko
do szczęścia
szczęścia wszystkich ludzi —

i popatrz:
oto spełnia się
jeszcze w tym życiu
wszystko,
o czym marzyłem.

przełożył
ANDRZEJ WIRTH

JOHANNES R. BECHER

Wiersz

moich późnych lat

Wiersz moich późnych lat
różni się
od wierszy
mojej młodości,
które poświęcone były
smutkowi i śmierci,
oszołomieniu i zwątpieniu.

Od wierszy mojej młodości
wiersz moich późnych lat
tym się różni,
że poświęcony jest młodości,
jej sile, jej blaskowi,
jej wytrwałemu dążeniu
do pokoju,
do tego, co nowe.

przełożył
ANDRZEJ WIRTH

Z dziennika lektury „nieobowiązkowej”

Złote myśli” kol. PodgaŃniaka, które przeczytałem w poprzednim numerze POPROSTU, spowodowały, że wydobylem spod sterty książek i skryptów mój własny dziennik lektury. Przyznać muszę, że nie przyszło mi to łatwo. Już od bardzo dawna nie czyniłem w nim żadnych notatek ani uwag o przeczytanych książkach, a nawet gdy pewnego dnia nie mogłem go znaleźć nie martwiłem się tym zbytnio. Dzisiaj jednak, po długich poszukiwaniach, znowu leży przede mną.

Z ciekawością przeglądam go od początku. Lektura nawet ciekawa, odświeżyłem w pamięci szereg książek, których bohaterzy stają znowu przede mną jak żywi, znowu polemizuję z autorami. Jednak nie o tym chciałem napisać.

Jednym z pierwszych wrażeń jakie odniosłem przy czytaniu dziennika jest okresowe zjawisko kontestowania się dat czynionych notatek i zageszczania tytułów książek. W pewnych okresach notowałem niemal codziennie, a zageszczenie tytułów świadczyło, że po przeczytaniu jednej książki, brałem zaraz następną. W innym natomiast okresie odstępy w czasie były bardzo duże; tygodniowe a nawet miesięczne, notatki robione były niestannie, skrótowno.

Ostatnie strony mojego dziennika zapełnione są notatkami, które niezbyt dobrze świadczą o jego autorze. Składają się przeważnie z uwag o książkach... nieprzeczytanych. Oceny i sądy są nie moje, z wyjątkiem pytańników, które stawiałem w miejscach wątpliwych, oraz uwagi, często podkreślone; to muszę kiedyś koniecznie przeczytać!

Okres, z którego datują się te dziwne notatki, był chyba jednym z najtrudniejszych. Pracy zważyło się co niemiara. Pamiętam, że książka, którą chciałem wtedy przeczytać, to była „Władza” Konwickiego; długo leżała na stole zaczęta i do dziś nie skończona. Nie było czasu.

W tej chwili wydaje mi się jednak, że ostatnie notatki z „dziennika lektury” bardzo mi się przydadzą. Za dwa dni ostatni egzamin, a potem... Przecież nie będę tylko zazywał słońca i wody. Trzeba sobie skompletować lekturę, którą koniecznie muszę przeczytać. Zaczęłam uważnie selekcjonować tytuły,

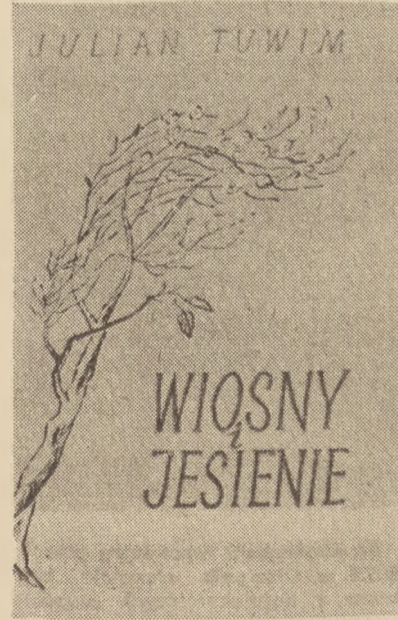
podkreślając je czerwonym ołówkiem.

A więc przede wszystkim zaczęła „Władza” — Konwickiego. W dzienniku obok tytułu lakoniczna uwaga — „Mówią, że jest to jedna z najciekawszych pozycji współczesnych. Podobno świetnie się czyta. Tadek stale się pyta czy już przeczytałem, a ja wciąż nie mam czasu”.

Kiedyś na zebraniu wyborczym wybuchła ostra dyskusja, której temat można by określić „Jakie jest nasze pokolenie”. Organizator nie potrafił ogarnąć tej żywiołowości i wyszło nawet tak, że obrazili się na grupę, wtedy, pamiętam to dobrze, ustał Staszek i zarzucił mu oderwanie od grupy, niedowierzanie ludzimi, którzy tak jak on nie należeli do ZWM od 1945 roku, którzy tak jak on nie walczyli z bandami. Ze nie czyta, że nie rozwija się, a życie idzie szybko naprzód. Jesteś tak jak jeden z bohaterów książki „Moje pokolenie” — Gorbatowa, którą powinienes koniecznie przeczytać.

Nic dziwnego więc, że w dzienniku tego samego dnia napisałem długimi literami „Moje pokolenie”. Gorbatowa — koniecznie przeczytać (trzy razy podkreślone) i kilka uwag z dyskusji o naszym pokoleniu.

Pod tą samą datą znalazłem zanotowane jeszcze dwie książki, których tytuły padły na tym samym zebraniu (wyjątkowe zebranie). „Nad Bugiem” — Smolaka. Andrzej wspominał o niej gdy bronił organizatora grupy przed zbyt ostrymi atakami. Mówił właśnie nie



o książce, a o nim samym, o Zbyszku, który pierwsze lata spędził we Włodawie nad Bugiem i pracował w Zarz. Pow. ZWM wraz ze Smolakiem i wraz z nim przeżywał tragiczny i bohaterski okres młodości. Z tego czasu została mu blizna po bandyckiej kuli. A Smolak napisał książkę — to musi być dobra książka (podkreślone).

„Artykuły publicystyczne” — M. Gorki. Ktoś powiedział, że daru przekonywania i argumentacji należałoby się uczyć z publicystyki Gorkiego. A przy tym, że jego artykuły publicystyczne zebrane w wydaniach książkowych (również „Artykuły i pamflety”) czyta się jak powieść z tym, że są ciekawsze od wielu powieści. Gorki dużo miejsca poświęca problemowi młodzi i młodości (podkreślone).

Potem następują już całkiem krótkie notatki: „Klub Pickwicka” — K. Dickens. Dlaczego ja tego jeszcze nie czytałem? „Drewniany różaniec” — Natalia Rolleczeck. Koniecznie (podkreślone). „Gwiazda brazylijskiego nieba” — T. Kwiatkowski. Koniecznie (podkreślone). Nawet nie pamiętam w jakich okolicznościach zanotowałem te pozycje dość różne tematycznie i sądząc z autorów, również jakościowo. W każdym razie wydaje mi się, że warte są podkreślenia czerwonym ołówkiem.

Zupełnie osobno i znowu pod jedną datą zebrało się kilka pozycji, którymi jestem przez chwilę zaskoczony. Przecież już czytałem. Tak, ale dawno, bardzo dawno. Przypo-



minam sobie, że „Lalkę” — Prusa i „Przedwiośnie” — Żeromskiego zanotowałem zaraz potem gdy do pokoju wpadł Marian i zaczął opowiadać swe wrażenia po przeczytaniu „Lalki”. Czyta ją już po raz czwarty i za każdym razem odkrywa nowe myśli. Prus był przecież jednym z najgenialniejszych ludzi epoki. Po „Lalce” wymienione były „Dzienniki”. Podkreślam te pozycje grubo i dwa razy. To naprawdę trzeba przeczytać, tym razem jako lekturę nieobowiązkową. Również poezję — szczególnie J. Tuwima; mam zanotowane, że ukazał się nowy tom wierszy — „Wiosny i jesienie”.

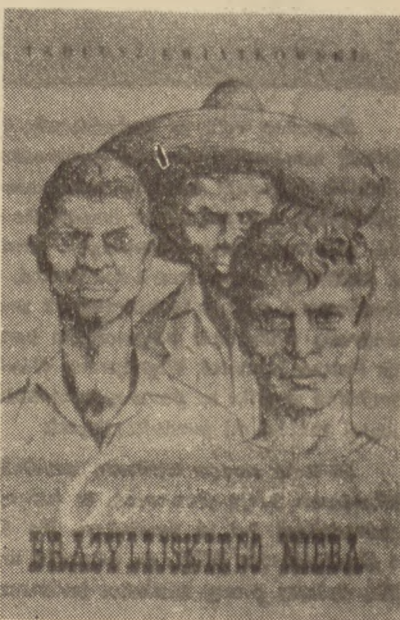
Bardzo dużo się tego zebrało, czy wystarczy czasu? Powinno wystarczyć. Jak zauważyłem, z dziennika lektur można wyciągać również wnioski.

Jedna z ostatnich notatek ma datę moich urodzin i tytuł książki „Podziemia wolności” — J. Amado, opatrzone rozpaczyliwym komentarzem — „kiedy ja to przeczytałem!” Znalazłem ją na półce z jeszcze nie rozciętymi kartkami. Potężne dwa tomy. Wytarłem kurz, który grubo zażył już na nich osiąść, i włożyłem je do walizki.

— Co, już się pakujesz? — zapytał Władek.

— Tak, zaczynam się pakować na wakacje, jak zwykle najpierw się myślę o rzeczach niezbędniejszych, które w ostatniej chwili mógłbym zapomnieć.

JAN JEZIEBSKI



Kiosk KSIĄŻKOWY

LATA WOJNY I POKOJU

Wojciech Zukrowski — wybitny pisarz i laureat Nagrody Państwowej, wydał nowy tomik opowiadań. W książce, na którą się składa osiem opowiadań, możemy przeczytać:

— o książce Lenina, którą można było swobodnie wypożyczać z publicznej biblioteki w czasie okupacji hitlerowskiej (książka znajdowała się w dziale medycyny i nosiła tytuł... „O dziecięcej chorobie lewicowości”);

— o radzieckim partyzancie Koli, który walczył z fantazją a zginął od kuli rzemieśnika;

— o niepotrzebnym bohaterstwie małego harcerza zwanego „Mil-mil”;

— o „deutsche Ordnung in der Stadt Warschau”;

— o zwykłym zającu, który w przeciągu jednej nocy z pijaka uczynił przykładnego abstynenta;

— o...

Dość. Atrakcyjnych tematów moglibyśmy znaleźć u Zukrowskiego więcej. Nie w nich jednak leży wartość tej książki. Miłośnicy talentu Zukrowskiego (a ma ich wielu) wiedzą, co stanowi istotną zaletę jego książek. To wielka miłość świata: ludzi, zwierząt, przyrody. Umiejętność prawdziwego, głęboko humanistycznego ukazania bogactwa życia w jego tragicznych i pogodnych przejawach.

Nie zawiedzie nas pod tym względem nowa książka Zukrowskiego, choć nie zawsze zgadzamy się z autorem w ocenie pewnych zjawisk z okresu faszystowskiej okupacji. Opowiadanie „Mil-mil” napisane w 1948 roku nosi wyraźne cechy fałszywej ideologicznej postawy autora, postawy, którą zajmował Zukrowski pisząc swą pierwszą książkę o wymownym tytule: „Z kraju milczenia”.

Opowiadania powstawały w różnych latach. Dzielą się wyraźnie na dwie części, tematycznie obejmują dwa okresy: lata wojny i pokoju. Im bliższa nam data napisania na ostatniej stronie tekstu, tym temat bliższy naszemu dniom. Pisarz oddał się od lat „milczeniu”.

Tomik Zukrowskiego wydał Państwowy Instytut Wydawniczy, który na ogół unika współczesnych twórców. Tym razem przelamał swoją niechęć i wydał Zukrowskiego bardzo brzydko: na kierskim papierze, a dobry pomysł okładki Marka Rudnickiego (kolor okładki imitujący szare płótno) w wykonaniu wypadł zupełnie nieefektownie. Nie powinno to jednak zniechęcać czytelników. Książki Zukrowskiego są zawsze godne czytania bez względu na ich wydanie.

JT.

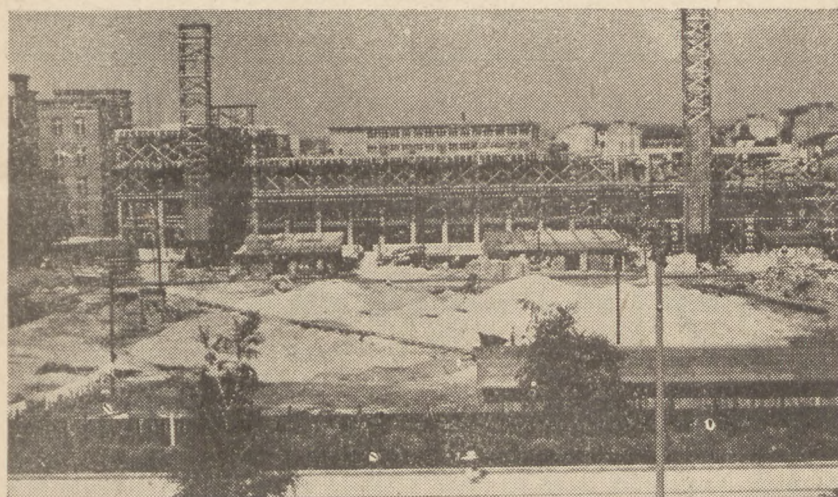
Wojciech Zukrowski — „W Kamieniu i inne opowiadania”, PIW, str. 184, cena 5.70.

AGH dawniej i dziś

Trzydzieści pięć lat temu, w maju 1919 roku, powstaje w Krakowie nowa uczelnia — Akademia Górnicza. Wystartowała z 6 profesorami i 80 słuchaczami, potem studentów powoli przybywało, a w roku 1922 na studia przyjęto nawet... kobietę (oczywiście po burzliwych dyskusjach). W 1923 roku zaplanowano już budowę własnego gmachu, ale budowa ta posuwała się w żółtym tempie: kredyty były minimalne, a podwyższanie opłat studentów niewiele pomagało. W samym tylko roku akad. 1933/34 z powodu nieuiszczenia opłat wykluczono z uczelni 57 studentów. Wreszcie po... piętnastu latach budowy gmach uczelni oddano do użytku.

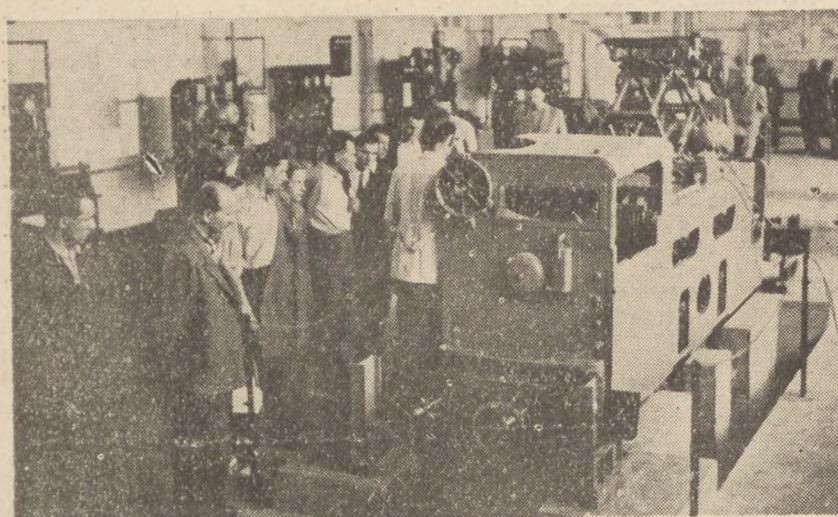


Dziś gmach ten spełnia jeszcze funkcję głównego budynku uczelni, ale obok niego wyrosły już nowe — rozbudowa Akademii Górniczo-Hutniczej szybko postępuje naprzód. A gdy zostanie ona zakończona — dzisiejszy gmach główny stanie się tylko „przibudówką” do wielkiego miasteczka-uczelni. Pierwsze projekty rozbudowy opracowano w roku 1948 i jak na razie studenci AGH otrzymali już: 4 nowe pawilony (w nich to mieszczą się liczne nowe laboratoria, np. otwarte ostatnio i doskonale wyposażone laboratoria elektryfikacji i mechanizacji górnictwa), hale maszyn, kopalnię doświadczalną oraz pięć bloków — domów akademickich (nie licząc Domu Profesorskiego). Na zdjęciu poniżej — budowa nowego gmachu głównego (wielokrotnie większego od dotychczasowego).



W rozbudowującej się Akademii Górniczo-Hutniczej studiuje dziś 9 razy więcej studentów niż przed wojną (w tym liczba kobiet wzrosła 40-krotnie), studenci ci otrzymują około 100 razy więcej stypendiów niż ich poprzednicy z lat 1919—1939. W samym tylko roku 1952 Akademia dała krajowi więcej inżynierów, niż w ciągu całego dwudziestolecia międzywojennego!

Ale rzecz nie tylko w ilości: przygotowanie fachowe absolwentów AGH jest niewątpliwie znacznie lepsze niż przed wojną. I to nie tylko dlatego, że stale polepszają się warunki studiów, że z roku na rok przybywa nowych domów akademickich i laboratoriów, gdzie studenci praktycznie zapoznają się z najnowocześniejszymi urządzeniami (na zdjęciu poniżej — fragment jednego z nowo powstałych laboratoriów mechanizacji i elektryfikacji górnictwa).



Poważną rolę w podnoszeniu poziomu naukowego uczelni odgrywają prace naukowo-badawcze prowadzone przez wykładowców i asystentów. Dzięki wydajnej pomocy materialnej ze strony Państwa prace te szybko postępują naprzód dając wspaniale nieraz rezultaty. Szczególnie ważne jest tu rozwiązywanie aktualnych problemów naszej gospodarki narodowej, a zwłaszcza górnictwa i hutnictwa. Od roku 1945 w uznaniu za osiągnięcia naukowe i postęp techniczny 89 pracowników naukowych AGH otrzymało nagrody i wysokie odznaczenia państwowe. Tu również powstał pierwszy w Polsce Komitet Współpracy Naukowców z Robotnikami, który osiągnął wybitne wyniki w pomocy racjonalizatorom i we współpracy z poszczególnymi zakładami produkcyjnymi.

35-lecie swego istnienia uczelnia obchodziła w swoisty sposób: zorganizowano Sesję Naukową, w której wzięli udział liczni absolwenci AGH zatrudnieni już w produkcji. Na Sesji omówiono osiągnięcia naukowców i absolwentów AGH, co pomogło wyciągnąć szereg konkretnych wniosków dla dalszej pracy naukowo-badawczej i dydaktyczno-wychowawczej.

(Foto S. Stefaniszyn)

BARBARA KAŁAMACKA

CZAS GEOLOGÓW

MYŚLĄ I MŁOTEM

Gmach wykończono ostatecznie jakoś na przełomie 1937 i 38 roku. Na frontonie między kolumnami widniał duży napis: *Mente et malleo* — myślą i młotem. I można bez przesady powiedzieć, był to jeden z piękniejszych gmachów Warszawy, reprezentacyjny jak na stołeczną przystałość, prawdziwy pałac nauki wybudowany specjalnie dla pomieszczenia w swym wnętrzu Instytutu Geologicznego. A wewnątrz było nie mniej okazałe: wspaniałe wykłady marmurami hall, duże jasne sale muzealne, biblioteczne, obszerne gabinety z przyległymi: doł pracownikami, ozdobne klatki schodowe i krużganki. Wrażenie świetności uzupełniał gabinet dyrektora zastawiony kosztownymi mahoniowymi meblami, zasłany puszystym dywanem.

Młodzi absolwenci wydziałów geologicznych przekraczający z nabożną trwogą progi Instytutu czuli się zmieszani i onieśmieleni jego wspaniałością. Byli to jednak tylko pozory. Poza kilkoma wybitnymi naukowcami, którzy pracowali tu od lat i zdolałi acz z trudem skompletować sobie urządzenia gabinetów i pracowni, reszta personelu musiała zadowolić się warunkami bardziej niż prymitywnymi.

Przed młodymi pracownikami stał problem zdobycia już nie tylko biurka czy szafy, ale nawet krzesła. Przy bliższych oględzinach okazywało się, że tak imponująca na pierwszy rzut oka placówka naukowa nie została wyposażona nawet w najelementarniejsze urządzenia. Nie budziło to zdziwienia. Cóż, geologia! Komu może być potrzebna ta gałąź wiedzy? Można się było raczej dziwić, że w przystępie jakiegoś niezrozumiałego kaprysu rząd wyasygnował gotówkę na budowę gmachu.

Wyjaśnienie mogło tu być tylko jedno — dobroczynnością kierującą zawsze fantazję. Może któryś z wysooko postawionych filantropów przypomniał sobie przy winie chłopięce marzenia o zbadaniu przeszłości tego najlepszego ze światów, a może jakaś popularno-naukowa rozprawa o trzyczorzędzie pozwoliła mu zwalczyć beznadzieję i po którymś tam z kolei zdaniu przyniosła błogi spoczynek. Trudno dziś tego dociec. Dość, że filantropijny kaprys przyoblał się w kształt dużego, okazałego budynku i stanął twardo przy ul. Stefana Batorego. Ulicy co praw-

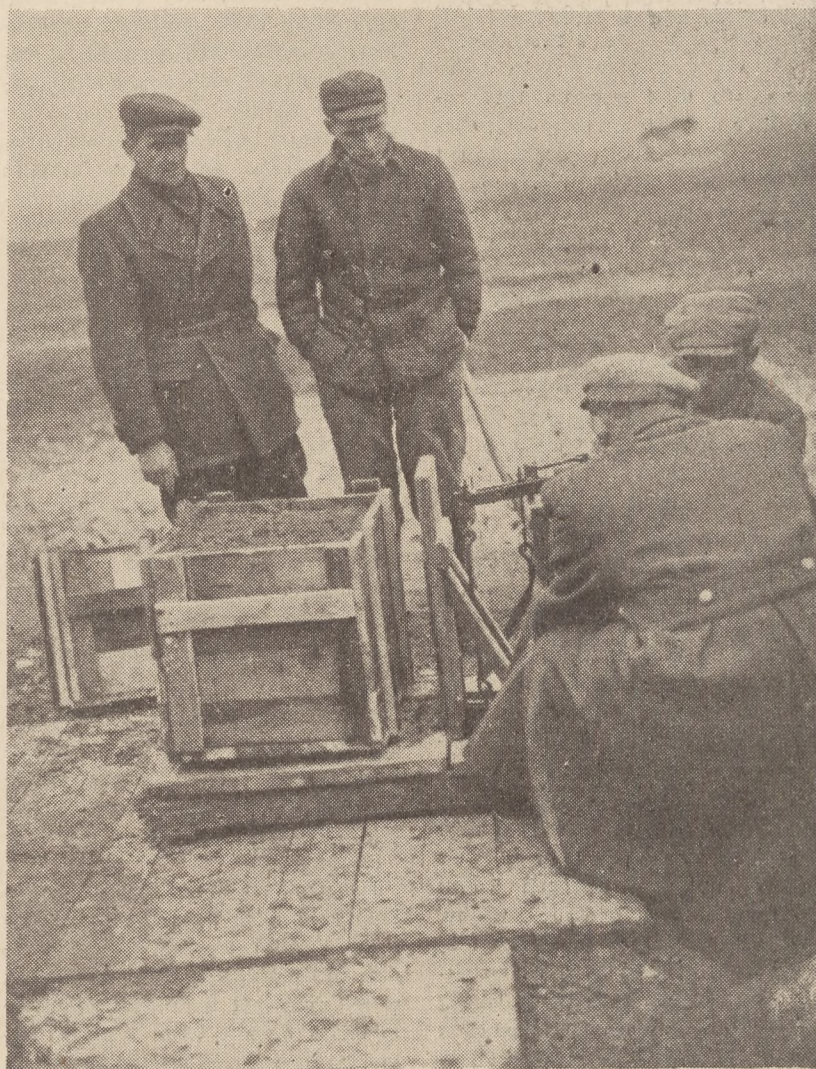
da nigdy nie przeprowadzono, bo trzeba by w tym celu wykupić ogrody prywatnych właścicieli, ale projekt był i nazwa była. Nikt się tym zresztą nie przejmował. Wchodziło się po staremu od Wisła.owej i nie przeszkadzało to nikomu, że kapryśna dobroczynność wygasta z nim naprzeciw frontonu Instytutu ułożono płyty chodników i jezdni. Gorzej było, że budżet wyznaczono naszej placówce naukowej mały, mały! Choć wiadomo — wszelkie badania pociągają za sobą koszty, są nimi uwarunkowane. Ale wysoko postawiony filantrop przestał się interesować geologią. Z pewnością żałował nawet swych niewczesnych uniesień. Bo teraz, kiedy Instytut już powstał, trzeba było wyposażyć go w skromne choćby dotacje i płacić je, płacić każdego roku. Jasne, że „zwariowani” geolodzy nie mogli oczekiwać zbyt wiele. „Myślą i młotem”... tak właśnie, według tej dewizy powinni pracować. Myśl wszak nie nie kosztuje, a młot bardzo niewiele.

LUDZIE NIE Z TEJ ZIEMI

Rodzina zazwyczaj bez skrupułów wyrażała wątpliwości co do stanu pięciu klepek delikwenta. Znającymi za plecami kiwali z politowaniem głowami. Bo też w tych zamierzchłych czasach międzywojennego 20-lecia był to zamiar o tyle dziwny, o ile bezsensowny. Studiować geologię? Ależ, co to daje?

Zapałenców w istocie nie było wielu. Do 1937 r. Uniwersytet Warszawski gościł w swych murach zaledwie 8 słuchaczy zakładu geologii i paleontologii. Byli to ludzie rozmiłowani w swojej dziedzinie bez reszty, maniacy w rodzaju pana Fabre. Obierali sobie drogę naukowców, zresztą innych dróg przed nimi nie było. Lokowali się na asystenturach, w Muzeum Ziemi, w Instytucie Geologicznym. Dla tej małej garstki zazwyczaj starczyło jeszcze miejsca. I jeżeli narzekali na swój los, to nie z powodu głodowych zarobków, ale z powodu braku funduszy na prowadzenie badań, to było dla nich najważniejsze. Zabiegali o nie skrzętnie w rozmaitych instytucjach, które jakoby popierały naukę. Niekiedy udawało się zdobyć trochę grosza, częściej odchodziło się z kwitkiem.

Ale młotek geologa rzeczywiście niewiele kosztuje, a zapał ustokrotniał się jego uderzeń. Prowadziło się więc badania najprymitywniejszymi metodami, ale nikt nie usta-



Próby wydobytego złoża przesyłane do zbadania w laboratoriach chemicznych. Na zdjęciu ostatnie ważenie przygotowanej już do wysyłki próby.

wał, nikt nie rezygnował. W Instytucie, w bibliotekach Uniwersytetu, w Muzeum Ziemi gromadziły się sterty opracowań, zapisków o odkrytych złożach. Zbiory wykopalisk pęczniały od cennych eksponatów. W atmosferze doskonałej obojętności całej reszty społeczeństwa żarliwa sekta geologów pracowała zapamiętale, ofiarnie.

Dla kogo trudzili się tak lata całe bez słowa uznania i zachęty? Zapytani dziś o to uśmiechają się z zażenowaniem nie licząc na zrozumienie — dla nauki, dla pokoleń.

Kiedy ich praca miała przynieść owoce? — nie wyznaczali sobie ter-

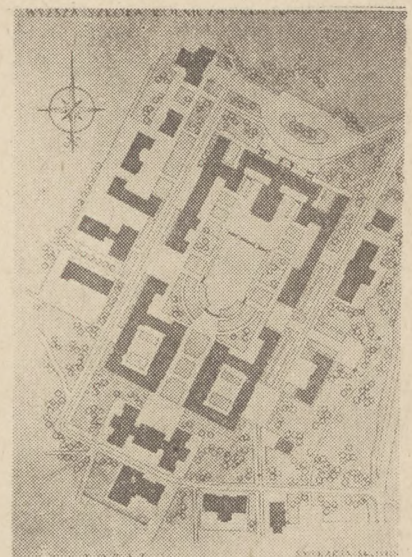
minów. Dla geologa poruszającego się w przestizienach setek milionów lat zwykłe kryteria czasowe były absurdalnie ciasne. Sto lat wcześniej czy później, jakie to miało znaczenie? Zresztą od czasu do czasu spotykali się jednak z zainteresowaniem, choć nie tego rodzaju jakby sobie życzyli. Tak było na przykład z odkryciem złóż fosforowych w centralnej Polsce.

TRAGICZNY STRZAŁ

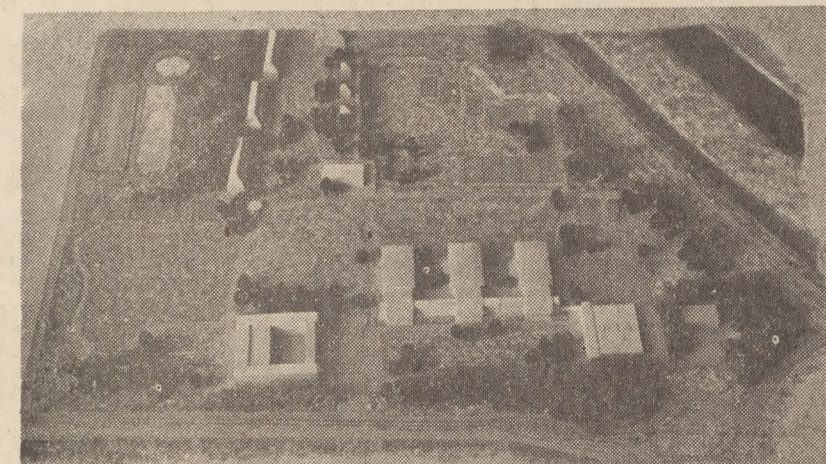
Dla wielu geologów odkrycie to miało jedyny, ale bardzo doniosły aspekt. Zmieniało mianowicie do-

NASZE PLANY

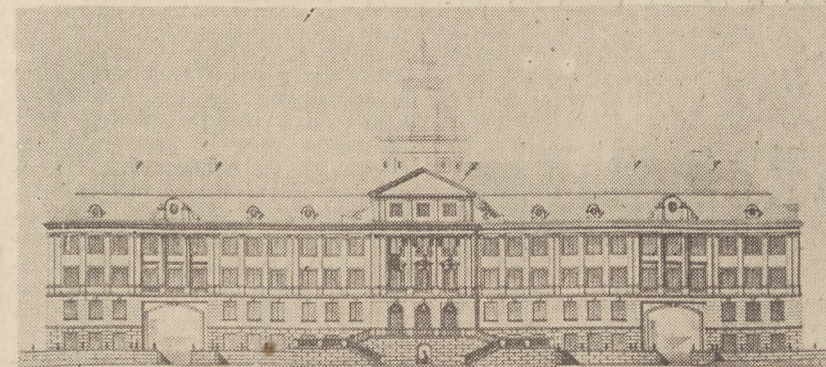
Nie ma dziś w kraju ośrodka akademickiego, w którym nie prowadzono by prac nad rozbudową starych i budową nowych gmachów uczelni i domów akademickich. W bieżącym roku sam tylko budżet inwestycyjny Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego wzrósł o kilnaście procent, przy czym ponad jedna trzecia tego budżetu przeznaczona została na budowę domów akademickich. W przyszłym roku budżetowym szczególny nacisk położony zostanie na rozbudowę istniejących uczelni rolniczych, i budowę gmachów dla mających powstać nowych uczelni tego typu. Projekty gmachów szkolnictwa wyższego i domów akademickich cechuje coraz większa troska o jak najlepsze warunki pracy naukowej o wygodę pracowników naukowych i studentów oraz o piękno architektury budowanych gmachów. Świadectwem tego są między innymi projekty wystawione na Ogólnopolskim Pokazie Architektury otwartym w Salach Redutowych Teatru Narodowego w Warszawie. Kilka z tych projektów reprodukuje obok i poniżej.



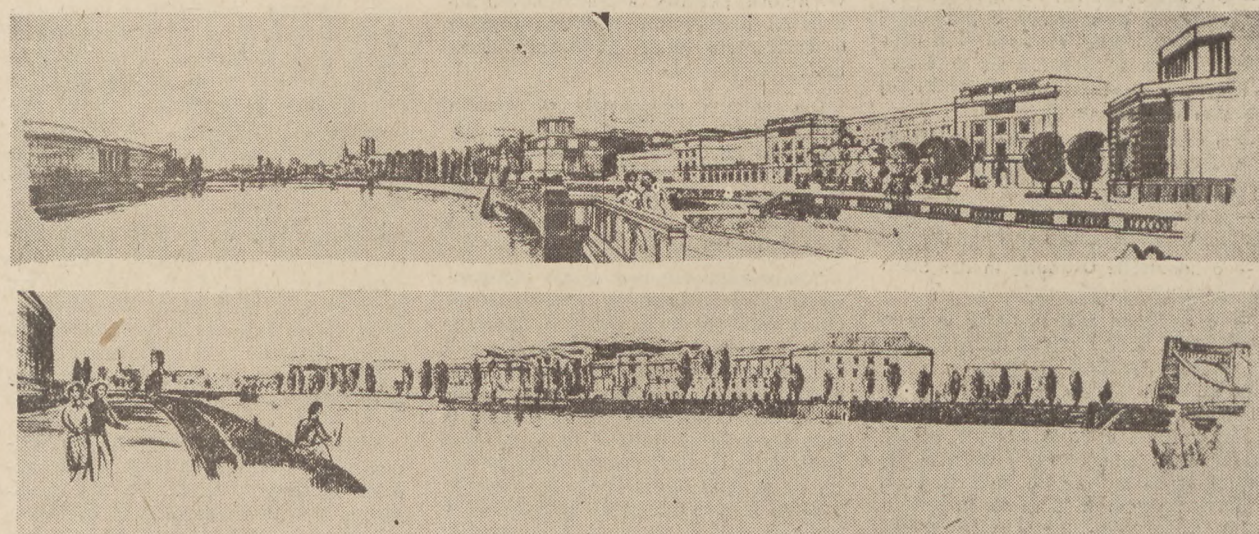
Po ukończeniu rozbudowy gmachu WSR w Olsztynie stanowić będą jeden z najpiękniejszych zespołów akademickich w kraju.



Oto makieta terenu zabudowy Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego we Wrocławiu.



Wspaniały gmach rektoratu WSR w Olsztynie.



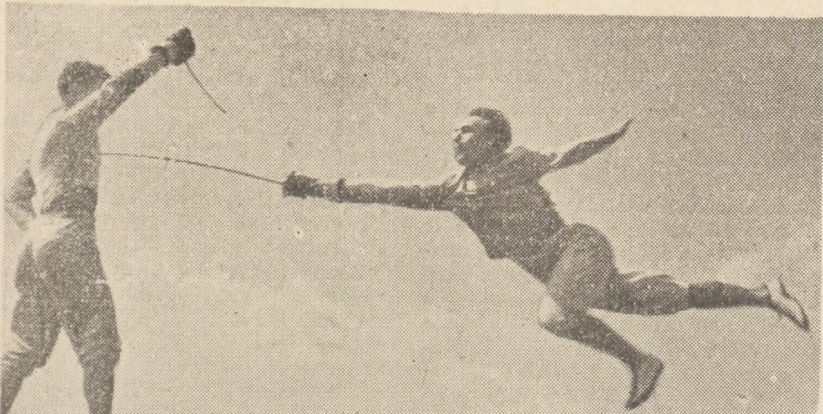
Położone nad Odrą nowe gmachy Uniwersytetu Wrocławskiego im. B. Biern'a staną się pięknym akcentem urbanistycznym prastarego grodu polskiego. (Na zdjęciu: szkice dwóch wariantów zabudowy nadbrzeża Odry).

W Warszawie odbyły się niedawno wielkie Międzynarodowe Zawody Lekkoatletyczne, w których udział wzięło równie wielu studentów z różnych krajów. Serdecznie witaliśmy m. in. liczną grupę naszych kolegów, studentów radzieckich. Wśród nich startowali m. in. demonstrując swą wysoką klasę: rekordzista świata i wielokrotna Akademiści mistrzyni świata Aleksandra Czudina, rekordzista świata: Halina Żybina, Nadzieja Koniajewa, Akademicki mistrz świata — Suchartew, rekordzista świata Jurij Litujew i świetny długodystansowiec Włodzimierz Kuc.

Na zdjęciu: najlepsza obecnie polska dyskobolka — studentka AWF — Helena Kozłowska w przyjacielskiej rozmowie z doskonałą miotaczką radziecką Haliną Żybiną — studentką Instytutu Pedagogicznego w Leningradzie w przerwie zawodów warszawskich.

Na pewno mówili niemało o przygotowaniach do najbliższego spotkania w sierpniu br. na rzutni w Budapeszcie w czasie XII Letnich Akademickich Mistrzostw Świata.

Foto E. Franckowiak



Wspaniałym zwycięstwem polskich szablów zakończył się Szermierze Mistrzostwa Świata w Luksemburgu. Młodzi szermierze polscy zajęli w konkurencji drużynowej drugie miejsce, zdobywając srebrny medal, a w konkurencji indywidualnej duży sukces odniósł Jerzy Pawłowski, który zajął czwarte miejsce. Na zdjęciu uspaniałowiony flesz Pawłowski.

Foto CAF



JANUSZ SZAŁKOWSKI

W przeddzień IV AMP

W dniach od 1 do 4 lipca br. rozegrane zostaną w Poznaniu IV Akademickie Mistrzostwa Polski w lekkoatletyce, pływaniu, boksie, zapasnictwie, podnoszeniu ciężarów, strzelectwie, kolarstwie, tenisie i piłce ręcznej. Przygotowania w całym kraju dobiegły końca. Przypomnieć należy że w roku bieżącym przeprowadzono już AMP w narciarstwie, hokeju na lodzie, bojerach, koszykówce, siatkówce, szermierce i ostatnio w gimnastyce.

Mistrzostwa rozgrywane były prawie we wszystkich dyscyplinach począwszy od najniższego szczebla, a więc od grupy studenckiej, sekcji, wydziału lub koła uczelnianego. I to jest ich wielką zdobyczą.

W eliminacjach do mistrzostw w 16 dyscyplinach sportu uczestniczyło około 55 tys. studentów i studentek, tj. blisko 3 razy więcej niż w roku 1951. Kiedy przeprowadzono pierwsze AMP.

Podczas tegorocznych Spartakiad Uczelnianych pobito wiele rekordów Zrzeszenia i zdobyto około tysiąca klas sportowych. W przeddzień otwarcia tegorocznych Mistrzostw w Poznaniu do konajmy krótkiego przeglądu programu i obsady Mistrzostw.

Zaczniemy od „królowej sportu” — lekkoatletyki, która rozegrana zostanie w pełnym programie (prócz maratonu i 10-boju mężczyzn). Do startu zgłoszono 290 zawodników i zawodniczek. Zgodnie z regulaminem startować mogą studenci — członkowie AZS, którzy osiągnęli w znaczone dość wysokie minimum, najniższe z nich bowiem odpowiadają II klasie państwowej.

Ozdobą konkurencji lekkoatletycznych będzie spotkanie nowego rekordzisty Polski — Potrzebowski z Lewandowskim (dotychczasowy rekordzista). Obok nich na bieżni staną doskonale zapowiadający się młodzi zawodnicy: Gralewski, Musiał, Głowiński i inni. Pasjonujący będzie też pojedynek znanych naszych sprinterów: Adamskiego, Solarzkiego z Poznania, Holajna, Czajkowskiego i Wojtowicza z Gliwic z akademickim mistrzem świata Zdobychawem Stawczykiem, który ostatnio uzyskał świetne wyniki.

Mistrzostwa poznańskie powinny poprawić przeciętną 10 najlepszych biegaczy Zrzeszenia na pozostałych dystansach biegowych, łącznie z długimi dystansami i nawet konkurencjami w płotkach. W skokach będziemy świadkami ciekawej walki studentów — Poznań z Fabrykowskim — Gliwice i może wynikiem tego pojedynku będzie nowy rekord Polski. W skoku w dal czeka na Saka z Olsztyna wynoszący 7 m 12 cm. Nie wiemy tu jednak kandydata, chyba, że dokona tego mistrz Polski w plectoboku Stawczyk, który jedyny z zawodników AZS przekroczył w tym roku odległość 7 m. W trójskoku Laurentowski — Poznań ustanowił ostatnio wynikiem 14 m 80 cm nowy rekord AZS. W skoku o tyczce możemy również oczekiwać dobrego poziomu, a Ważnemu z Warszawy może uda się poprawienie ustanowionego w czasie Spartakiady Warszawskich Uczelni rekordu Zrzeszenia — wynoszącego 4 m 15 cm. W rzutach Mistrzostwa poznańskie powinny przynieść również poprawę przeciętną 10 najlepszych.

W konkurencjach kobiecych oczekujemy na dobre wyniki rewalacji tegorocznego sezonu — Marysi Kusion z Krakowa w skoku w dal, w sprintach, Wal-

czyż ona będzie m. in. w biegach krótkich z jedną z najzdolniejszych polskich sprinterek, Basią Lerczakówną.

Równie interesującą zapowiadają się konkurencja w skoku wwyż, szczególnie po ostatnich warszawskich wynikach Białkowskiej i Lesznerówny. W rzutach dojdzie do pojedynku Kozłowskiej — Warszawa, Iwaszkiewicz — Poznań, Figuer — Kraków. I tu winny paść dobre wyniki.

Do mistrzostw w pływaniu zgłoszono 150 zawodników i zawodniczek. Poziomą konkurencją winien być wyższy niż w roku ubiegłym, choć dotychczas uzyskiwane wyniki tak przez mężczyzn jak i kobiety nie mogą w dalszym ciągu zadowalać.

W programie tegorocznych Mistrzostw znajdują się po raz pierwszy także dyscypliny jak boks, zapasy i podnoszenie ciężarów. Start 72 bokserów z 8 okręgów, 30 zapasników i 22 ciężarowców świadczą o tym, że AZS rozwija te dyscypliny do niedawna mało popularne na terenie studentek.

W Poznaniu rozegra się również walka o tytuły mistrzowskie w strzelectwie, kolarstwie, tenisie oraz w piłce ręcznej mężczyzn.

Strzelectwo czyni stałe, choć zbyt powolne postępy w AZS. Po raz pierwszy włączono do programu kolarstwo. W indywidualnym i zespołowym wyścigu szosowym na dystansie 100 km udział swój zapowiedziało 33 kolarzy. Tenistom startować będzie około 40 (w tym połowa kobiet).

Wreszcie ostatnia z dyscyplin Mistrzostw — piłka ręczna mężczyzn. Po eliminacjach, w których uczestniczyło 9 zespołów w finałach spotkają się drużyny Stalagrodu, Krakowa, Poznania AWF, Szkoła, że nie zobaczymy rozgrywek drużyn kobiecych.

Ogółem na starcie poznańskich Mistrzostw staną około 800 najlepszych sportowców wyższych uczelni. Ponieważ w roku bieżącym AZS przeprowadził jeszcze mistrzostwa w wioślarstwie, żeglarskim, kajakarskim i morskim, w całości więc tegoroczne Akademickie Mistrzostwa Polski w 18 dyscyplinach sportu obejmą swym zasięgiem wraz z eliminacjami około 60 tys. studentek i studentów, z czego w Mistrzostwach centralnych udział weźmie ponad 4 tys. czołowych zawodniczek i zawodników AZS.

Na podstawie tegorocznych osiągnięć stwierdzić można, że Akademickie Zrzeszenie Sportowe zajmuje obecnie jedno z czołowych pozycji w ruchu sportowym naszego kraju, a przoduje w rozwijaniu takich dyscyplin jak wioślarstwo, żeglarskie, piłka-koszykowa i siatkowa. W czołówce kraju znajdują się lekkoatleci, narciarze i szermierze. Coraz lepiej rozwijają się także dyscypliny jak kolarstwo, boks, zapasy, podnoszenie ciężarów, sport motorowy i łyżwiarstwo.

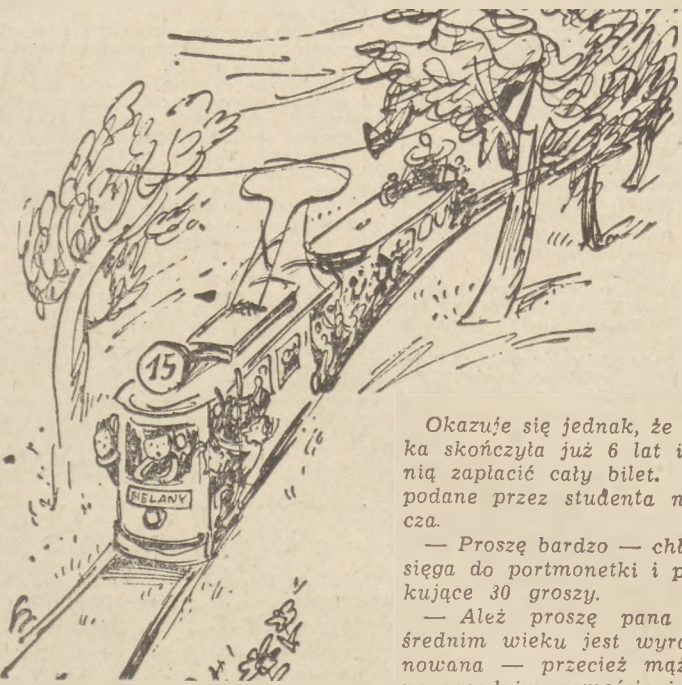
Sukcesy te zawiązała AZS oparciu pracy sportowej na doświadczeniach radzieckich uczelni. Zawiązała je opiece Partii i Rządu oraz pomocy ZMP. Zawiązała je, co raz lepiej, pracy trenerów, organizatorów i zawodników, prowadzących w kołach i sekcjach coraz lepiej pracę wychowawczą.

Tegoroczne sukcesy AZS wskazują, że studenci-sportowcy godnie witają X rocznicę Polski Ludowej i możemy na nich liczyć w XII Letnich Akademickich Mistrzostwach Świata w Budapeszcie.

ilustr. JERZY CWIERTNIA

POKRZYWIWY

Uśmiech w tramwaju (Obrazek podpatrzony)



Okazuje się jednak, że dziewczynka skończyła już 6 lat i trzeba za nią zapłacić cały bilet. 60 groszy podane przez studenta nie wystarcza.

— Proszę bardzo — chłopak znów sięga do portmonetki i podaje brakujące 30 groszy.

— Ależ proszę pana — pani w średnim wieku jest wyraźnie zadowolona — przecież mąż jest tam na przednim pomoście i zapłaci za nas na ostatnim przystanku gdy w wagonie zrobi się luźno.

Chłopak jest trochę zmieszany — ja przecież pani tylko pożyczam, nie ma się o co gniewać...

— Pożyczka pan — przecież pan mnie nie zna?

— Bliżej nie, ale znam panią z widzenia, ja mieszkam również na Mokotowie...

— Ależ my wcale nie mieszkamy na Mokotowie — śmieje się pani w średnim wieku, ale widząc, że chłopak czerwieni się jak burak — bierz pieniądze.

I wtedy przez zatłoczony tramwaj przelatuje jakby chłodniejszy, reński powiew — uśmiecha się stojący obok swym pan w okularach i krzywiąc się z wysiłku stania otyła obywatelka, uśmiecha się nawet zmęczony konduktor.

Student ze skrytem pod pachą również wybuch radośnym chlopieniem śmiechem, a zatłoczony tramwaj z głośnym dzwonieniem wjeżdża na zatłoczony światłami Plac Dzierżyńskiego.

EDMUND GONCZARSKI

KA WALARZ I MIOTŁA

J ulka poznałem w czasach, w studenckim domu wypoczynkowym. Nie wiem, jak Julek się uczył, ale kompan z niego był nieźle równany.

Talenty Julek zabłysnął w całej pełni wtedy, gdy na czasach zaczął się okres niepogody. Lepiej spać w mieście, niż w górach nie pogoda. Studencki dom wypoczynkowy w Miedzygórzu, na samym wierzchołku pagórka (jak milośnicy Tatr nazywali wierzchy Gondatych) był odesobniony od świata, cały w chmurach. Budynki stołowe znajdowały się już w innej chmurze, w jeszcze innej, za przeproszeniem, ubikacja. Szło się z jednej chmury do drugiej, mając głowę w chmurach. Jak poeta, wywołujący niewiadome wnioski z XI sesji Rady Kultury i Sztuki. I w kleszczych chmur, jak u tegoż poety. Byłoby romantycznie, wesoło, gdyby nie to że było nudno. Wszystkie książki z czasowej biblioteki były przeczytane, wszystkie płyty wyczerpane, wszystkie znajomości zawarte, do jednego stołu ping-pongowego była kolejką, jak do łagodnego asystenta, na kolokwium. W tej sytuacji ratował nas Julek.

Nie było takiego dnia, żeby Julek nie zrobił jakiegoś kawału. Cierpiał jeden, ale śmiali się za to i bawili wszyscy. Zaczęło się od całkiem niewinnych historii, które każdy student chyba zna. Każdy wie, jak się w nocy przed okna koleżanek opuszcza czaszkę z pływającą wewnątrz świecą; jak się wyjmując deski spod materaców, żeby łaknąć odpoczynku całkiem niespodziewanie znalazł się na podłodze. Po dwóch — trzech dniach chodziliśmy jak po podminowanym terenie, w ostrym pogotowiu. Spaliśmy w skarpetkach, drzwi otwieraliśmy długą pałką, żeby jakaś woda, niekoniecznie czysta, u mieszczonej zrecnie nad drzwiami, nie spowodowała czasem zjawiska, nazwanego potocznie oberwaniem chmury. I naturalnie każdorazowo próbowaliśmy kukier przed wysypianiem go do herbaty (bo solona obficie herbata nawet na czasach nie smakuje). Ale za to — jakże to wszystko było wesołe! Mówię wam, można było pęknąć ze śmiechu.

Julek był na pewno kochanym chłopakiem i robił te kawały tylko po to, by nam sprawić przyjemność. Jednym z nas wydawały się one bardziej przyjemne, innym mniej. Ci inni — to były ofiary. Każdy kawał wymaga ofiary. Gdy ofiara jest w kilku kolejnych kawałach ofiara, staje się ona stałą ofiarą. W ten sposób tworzy się jak gdyby hierarchia, składająca się z trzech warstw: — pierwszej — robiąca kawały drugą — tzw. publiczność, przyglądająca się kawałom i ciesząca się z nich z głośną aprobatą lub milcząca dezaprobatą (milcząca bo nikt nie chce uchodzić za ponurą i chłodną, nie znającego się na żartach); trzecia — to tzw. obiekty tych kawałów, czyli ofiary. Ci naturalnie są najmniej zadowoleni, twierdzą, że niektóre kawały — to raczej nie kawały, ale chuligaństwo. Ale wiadomo — wszystkich nie zadowolisz. Muszę tu od razu wykliczyć wszelkie domysły jakobym ja należał do tej trzeciej warstwy.

Zrobiła się piękna pogoda, opalaliśmy się, chodziliśmy na wycieczki. Julek już nie był w centrum uwagi, ale robił wszystko, żeby swoje stanowisko utrzy-

mać. Tonący chyłta się słomki; tak też Julek umieszczał gwoździe na krzesłach, na wycieczce przynosił koleżance ocet zamiast wody ze źródła (i skąd on go wziął?) itp. Wreszcie doczekał się — znowu się znowu znowu mu „koc”. Julek zniósł to mężnie, ale ze swoich praktyk nie zrezygnował. Aż pewnego dnia przed dom wypoczynkowy zajeżdża pogotowie. Ale nie uprzedzamy faktów.

Na parterze budynku znajdował się przysnyc. Któregoś dnia Julek poszedł się tam kąpać. Zamknął się, rozbrajał i rozkoszował się chłodnym i mokrym żywiołem. Nagle rozległo się pukanie. Odezwał się basowy głos — „Począł”. Julek chciał sięgnąć po kapelusz, żeby się ogarnąć — ale okazało się, że zły, gdyż nieopatrznie położył je na okienku. „Głupi kawał” pomyślał Julek i wrócił pod przysnyc. Ale pukanie po chwili rozległo się ponownie, i ten sam bas powiedział — „Czy pan Julian Horendalski? Dla pana są pieniadze”. Kawał — nie kawał, pomyślał Julek, ale na wszelki wypadek uchylił drzwi, chwytając się za nie i wysunął rękę mówiąc — „Proszę o przekaz”. Cofnął ją w ręku skakała mu mała zębka zabka. Wywrzcił ją przez okno, trafiając w przechodzącego akurat kucharkę, i usłyszał zresztą błogosławieństwo pod swoim adresem. Błogosławieństwo temu towarzyszył chichot, po którym poznał Stefka, jedną ze swych ofiar.

— Stefek — wrzasnął Julek — jak ubranie, bo jak wyjdę, to zrobię z ciebie kalarejkę.

Stefek za drzwiami uroczyście zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek komukolwiek zabierał ubranie. Po chwili zaś drzwi znowu rozległo się pukanie i wolanie „Julek, telefon do ciebie”. Głos przypominał do złudzenia głos kierownika domu. Julek nie zareagował — Ostatecznie w końcu będą mi musieli oddać ubranie — myślał.

Tamci za drzwiami też widocznie mieli czas, a Julekowi chciało się jeść, pić, palić, wszystko to czego chce się człowiekowi siedzącemu w zamknięciu. Pertraktacje po dobru nie dawały rezultatu. Stłona za drzwiami była w zamyślenie, a Julekowi wina i wypowiedzenia uroczystym głosem słów „Ja, Julek, jestem durni, robię głupie kawały i więcej nie będę”. Czyż można było tak się ponizić wobec bandy szczeniaków? Julek postanowił działać. W kacie ślaza długa, wiejska miotła. Zanurzył ją w wodzie, wywrzcił przez szparę, czy nie ma w korytarzu dziewczęta? I rozwarzył szeroko drzwi, rzucił się na nich z miotłą. Zwycięstwo na razie było całkowite po stronie Juleka. Chłopcy czmychnęli; ponieważ akurat zwiniała się pilka do koszykówki. Zresztą cała ta heca już im się znudziła, więc na błaganie Juleka krzyknęli, że wrzucą mu ubranie z powrotem przez okno za łazienki. I poleciali. Julek zadowolony z odniesionego sukcesu skierował w stronę łazienki, gdy wtem silny wiatr i przeciąg z otwartego okna trzasnął mu przed nosem drzwi. Pozostał na korytarzu, wybaczył koleżdy, goli, z miotłą w ręku.

Stefek! zawał! rozpaczał. Ale Stefek był już daleko i całkiem nie świadomy jego tragedii.

Na korytarzu, jak na pustyni, nie było się gdzie skryć, wszystkie drzwi zamknięte. Tymczasem słychać było we-

sole głosy nadchodzących dziewiczat. Jedyna nadzieja w gabinecie kierownika, który mieszł się też na parterze. Złomotał gwałtownie do tych drzwi...

— Kierowniku! — zawałab łagalnie. Kierownika nie było. Zamiast niego ukazała się twarz magazynierki, starszej kobiety, dość nerwowej. Ujrzawszy nagłego mężczyznę z miotłą w ręku, wzruszyła przerażenie i o mało nie zemdlła, ale drzwi nie puściła. Tymczasem dziewczęta już podchodziły do wejścia. Wykalkulowałyśmy szybko, że lepiej skompromitować się przed jedną magazynierką, niż przed gromadą dziewczat. Julek chciał przemocą wtargnąć do kancelarii. Stuch dotad sił magazynierce. Udało się jej wypchnąć Juleka i zamknąć drzwi na klucz. „Jeśli to nie diabeł — pomyślała — bo miotła ma, ale rogów nie widzę, to na pewno wariat”. I ledwie żywa ze strachu dopadła do telefonu.

Na stole w powiatowym pogotowiu ratunkowym zadzwonił telefon. Po chwili karetka pogotowia, w której siedziała lekarka, (zresztą pediatra, bo właśnie miała dyżur), sama w strachu, pocynym jak dąb woznym, uzbrojonym w długą kij i kufelka z lekiem, stanęła, z wysiłkiem wspinała się pod górę.

— Ale zostawiliśmy biednego Juleka w stanie nie do pozazdroszczenia. Widząc, że dziewczęta już wchodziły na korytarz, przebiegli błyskawicznie mimo nich i popędził schodami na strych, gdzie się natychmiast zabarykadował, nie wypuszczając miotły z ręki. (I na co mu wściebła była ta miotła?) Właśnie ona pobudziła wyobraźnię przerażonych dziewczat, bo sylwetka uciekającego nagłego mężczyzny — to jeszcze pół biedy, ale uciekający nagi mężczyzna z miotłą!... Nie poznały go. Migały im tylko. Toteż rozbiegły się po domu z krzykiem — „Wariat! Wariat! do domu!” Po chwili przed domem zebrał się tłum studentów i studentek, komentujących to wydarzenie i oczekujących przybycia pogotowia. W drugiej grupie zgromadził się personel kuchni i magazynierka na czele, która przysięgała na wszystkie świętości, że to na pewno diabeł, że sama widziała rogi i koźle kopyto. „To wszystko za nasze grzechy” — mówiła. Julek ze strychu widział całe zbiegowis-

ko i słyszał wszystko, ale za żadne skarby nie ujawniłby się w tej chwili, chociaż znalazł na strychu jakieś odzienie. Trząsł się ze wstydu. Ale nie dano mu długo rozmyślać, bo w wejściu ukazał się wspomniany wozny, za którym kryła się lekarka. Naturalnie usiłował wyjaśnić, że wcale nie jest wariatem, ale wobec tego, że nie było jeszcze na świecie wariata, który by się uważał za wariata — nie uwierzono mu.

Wozny, silny mężczyzna, nalożył mu kaptan bezpieczeństwa, lekarka dała mu zastrzyk uspokajający, a Julek, już zupełnie zrozbity, pilnował tylko jednego — żeby przy przetransportowaniu go do karetki nie pokazał swojej twarzy. I to mu się udało.

Dopiero, gdy po pewnym czasie Stefek ze swoją kompanią wrócił, i opowiedział o mu wariacie, który schronił się na terenie domu czasowego, skierowały on sobie te historie z Julekiem. Utrzymując całą sprawę w tajemnicy, pojechali wraz z kierownikiem na rozkiełcanym Willisie do powiatowego szpitala. Pod wieczór Willis wjechał z powrotem na teren domu studenckiego. O prócz Juleka i tych, którzy go sprawadzili, w Willisie znajdowała się miotła. Samochód zatrzymał się o kilkadziesiąt metrów przed domem; na życzenie Juleka wracano w pojedynkę; a miotłę niośli kierownicy.

Jakich wniosków nie należy wyciągać z tej historii?

1) Że wszystkie kawały są złe;
2) Że każdy, kto pod kimś doli kopie, sam w nie wpada.

Czyli zawsze przypadek pomoże nam w ukaraniu chuligańskiego kawalarza.

3. Że miotła jest okrucieństwem. Wszelkie inne wnioski można wyciągać, byle w miarę.

